

KSIĘŻNICZKA I CHŁOPCY

Byłem taki chudy, że w szkole już nikt nie pamiętał, jak mi właściwie na imię. Najpierw wołali na mnie Tyka, ale się nie przyjęło. Potem przezywali mnie Kita. Dlaczego „Kita”? Nikt tego nie wiedział. I też się nie przyjęło. Ale wreszcie, jak się już jedno przywisko przyjęło, to i zostało na dobre. Na dobre zostało, ale mnie wyszło nie na dobre.

- Uważaj! Wszędzie pełno tych twoich rąk i nóg, przejść nie można. No, co się tak gapisz? Wstrętny pajak!

To powiedziała Anka Sochacka podczas którejś przerwy. Później ona sama już chyba nie pamiętała, jak i nikt nie pamiętał - bo dla kogóż to było ważne - że właśnie Anka pierwsza mnie tak nazwała. Ja to zapamiętałem.

Pajak. Nic więcej, po prostu Pajak. Wystarczy. Ten przeklęty pajak spadł na mnie w takim jakimś złym momencie, że już się nie ześliznął, tylko wczepił się we mnie i tak został. Nawet kiedy byłem zupełnie sam, to zawsze pamiętałem, że jest nas przecież dwóch: ja i on, Pajak.

Niby wiedziałem, że przywiskami nie należy się przejmować, bo to jest zupełnie głupstwo, ale co innego było wiedzieć, a co innego było się nie przejmować.

Wbiłem sobie w głowę, że Pajak to jestem ten ja, którego wszyscy widzą, taki, jakim mnie wszyscy znają, a ten drugi to jestem też ja, ale tylko w swoich własnych oczach, w "swoich własnych myślach. Więc który z nas jest prawdziwy? Nie byłem dziewczyną, więc nie wystawiałem przed lustrem, nie

7

plakałem i w ogóle nie chodziło mi o to, że mam za długie ręce za długie nogi i jestem chudy jak słup telegraficzny. To też mnie gryzło, ale dopiero później, kiedy zaczęła mi się podobać Ewa Winkler, a ja jej - oczywiście - nie.

Najważniejsze jednak było co innego. Ja, Pajak, powoli uwierzyłem, że jestem w ogóle inny, we wszystkim gorszy od wszystkich.

- Pajak! Pójdziesz zagrać w piłkę?

- Nie. Nie mam czasu...

Miałem czas, miałem ochotę, ale odmówiłem. Nie chciałem ryzykować. A co będzie, jeśli nie strzelę gola? Albo jeśli przeze mnie przegrają? Będą się wściekać:

„kto wpadł na pomysł, żeby wziąć do drużyny tę offermę, Pajaka?!”

- Pajak! Może byś powiedział wiersz na akademii? Wykułeś go przecież na blachę... Zgadzasz się?

- Nie. Gardło mnie boli, nie mogę...

Mogłem. Ale bałem się wystąpić przed całą szkołą. Bo jeśli się nie uda, klasa powie: „no, oczywiście, Pajak znowu się wygłupił, jak

zwykle!"

Powoli przestali się do mnie z czymkolwiek zwracać. Nawet jak kiedyś zbierali w klasie na bilety do kina, to ktoś tam mruknął:

- Pajaka w ogóle nie pytajcie, czy pójdzie! Powie, że musi w domu psa pilnować albo że nogę obtarł...

Nie poszedłem wtedy z klasą do kina. Ani mnie nikt nie namawiał, ani ja sam nie chciałem. Miałem z nimi wszystkimi coraz mniej wspólnych spraw, nikomu nie byłem potrzebny, bo niby do czego? Przyzwyczailem się do tej myśli i w końcu mnie też nikt właściwie nie był potrzebny.

Zdziwił i zaskoczył mnie kiedyś Wikarek. Zagadnął ni w pięć, ni w dziewięć po lekcjach, zupełnie poważnie:

- Pajak... no, jakby to powiedzieć... Możemy cię wziąć do siebie, jeśli chcesz.

Co prawda jesteś do niczego, ale mamy tylko jeden zastęp chłopaków, a reszta to same dziewczyny... zapisz się do nas!

- To znaczy do kogo? - spytałem podejrzliwie.

- Do drużyny harcerskiej...

Przestałem się dziwić, że to proponuje. Nie zmyli mnie ta jego mina, niby zupełnie serio. Teraz już byłem pewien: po prostu nabija się ze mnie! Bo jakżeby inaczej.

8

- Nie! - powiedziałem. - Nie bawi mnie to...

- Trudno, a już myślałem, że zmontujemy jakiś zastęp pajaczków. Nie, to nie, ofiaro losu... - mruknął pogardliwie.

To nieszczęsne przezwisko, nawet przecież nie obraźliwe, było dla mnie jakby zaklętym progiem, za którym zaczęły się niedobre godziny i dni wmawiania w siebie, że jestem takie coś, o czym nie warto mówić.

Przez te dwa, trzy lata Anki Sochackiej w ogóle nie dostrzegalem, jakby nie istniała. Nigdy nawet nie starałem się zrobić jej czegoś na złość. Cóż by mi to dało? Nie wiedziałyby przecież, za co się próbuję odegrać. Więc i nie próbowałem.

Na dziewczęta w ogóle nie zwracałem uwagi. Dopiero pod koniec siódmej klasy doszedłem do wniosku, że dzielą się one na ładne i zupełnie nijakie, które mogłyby równie dobrze być chłopcami. Te nijakie, to były wszystkie, jakie znałem.

A ta ładna, to tylko Ewa Winkler. Ewa była bardzo ładna i nie ja pierwszy to zauważyłem. Ci z ósmej i liceum wiedzieli o tym od dawna. Nie raz przecież widziałem ją ze starszymi chłopcami w parku albo pod kinem. Ewa nie przyjaźniła się z żadnym chłopcem z naszej klasy oprócz Andrzeja Kosińskiego. Innych uważała za smarkaczy. A Kosiński rzeczywiście był starszy od nas wszystkich, bo dwa lata przesiedział w szóstej...

Często gapilem się na Ewę podczas lekcji, aż kiedyś widocznie za bardzo się zagapilem, bo mi nauczycielka zwróciła uwagę. Miałem pewnie bardzo głupią minę i cała klasa ryknęła śmiechem, a Kosiński powiedział głośno:

- Pajak zakochał się w Winklerównie! Świetny dowcip! Nawet nauczycielka uśmiechnęła się, więc to chyba był naprawdę

dobry dowcip. Ewa do końca lekcji chichotała, a kiedy wychodziliśmy z klasy i przy drzwiach cofnąłem się odruchowo, żeby ją przepuścić, roześmiała mi się w twarz.

Tego dnia o mało nie rozplakałem się, tam w klasie. To by dopiero był cyrk!

Zakochany Pajak! I to w kim? W najładniejszej dziewczynie. Przyznaję, że to ich wszystkich mogło śmieszyć. Mnie jednak zupełnie nie było do śmiechu. Nie dlatego, żebym naprawdę był w Ewie zakochany. Skądże znowu! W ogóle nie wiedziałem, co to właściwie znaczy „zakochany”. Ale dlatego, że wtedy wyjątkowo ?????? czułem się tym kimś gorszym i śmiesznym. No, tym... Pajak-

Upływały miesiące, a mnie coraz bardziej gryzł mój „pająk”. Prawie nie rozmawiałem z kolegami, nie miałem o czym. Przeważnie siedziałem w domu, czytałem jedną książkę po drugiej, wszystkie, jakie wpadły mi w ręce. Pilnowałem tylko, żeby nie uczyć się gorzej od innych. To potrafiłem. Przynajmniej z moich odpowiedzi na lekcjach, z moich wypracowań nikt się nie mógł śmiać. A stale bałem się, że mnie wyśmieją. Tylko czekałem, z której strony padnie jakieś słowo, jedno zdanie i wywoła huragan śmiechu z tego nieszczęsnego Pajaka. Ze mnie. A już specjalnie uważałem, żeby przypadkiem nie patrzeć więcej, niż można - ot, tylko mimochodem - na Ewę Winkler. Ale i tak widziałem, że robi się coraz ładniejsza i dobrze o tym wie. Myślę, że inni też to zauważyli, chyba nawet i nauczyciele. A może nauczyciele w ogóle nie wiedzieli, jaki kto z nas naprawdę jest. Na przykład ja, Pająk.

Ktoregoś dnia obilo mi się o uszy, że Ewa ma jakieś kłopoty w szkole. Podobno ktoś tam ją spotkał na wieczornej zabawie w technikum. Słyszałem, jak Baśka Wolska, która chyba od piątej klasy siedzi z nią w jednej ławce, mówiła do Wikarka:

- A co ty sobie myślisz! Matka Ewy to się aż pokłóciła z kierowniczką. Powiedziała jej, że sama Ewę na tę zabawę posłała. Jak dziewczyna ładna, to jej się w szkole o wszystko czepiają...

Ale Wikarka widocznie to nie bardzo przekonało:

- Że jak ładna, to się czepiają, powiadasz? No, to spokojna głowa, ciebie się nikt nie czepnie... A zresztą, bzdury pleciesz! No, bo czemu się wobec tego Anki Sochackiej nie czepiają? Ona też ładna. Więc czemu? Bo nie mają o co!

Odsunąłem się, żeby nie pomyśleli, że podsłuchuję. Tym bardziej, że przecież zupełnie mnie to wszystko nie interesowało. Ale potem na lekcji przypomniałem sobie nagle, co Wikarek powiedział o Ance. Ona ładna? Nigdy by mi chyba nie przyszło do głowy, że Anka może się komuś wydawać ładna. Choćby nawet tylko takiemu Wi-karkowi.

Aż się obejrzałem, tak zupełnie nagle, bez zastanowienia. I w tej samej chwili mocno tego pożałowałem. Anka spostrzegła, że patrzę na nią i uśmiechnęła się. Ale mnie ten jej uśmiech od razu przypomniał: „wszędzie pełno tych twoich rąk i nóg... co się tak gapisz...

10

wstrętny pająk!" Odwróciłem głowę, byłem wściekły. Nawet nie na Sochacką, bo cóż by mi z tego przyszło. Na siebie.

Postanowiłem, że będę się starał w ogóle nie słuchać, o czym w klasie rozmawiają.

Co mnie obchodzą ich plotki i ich sprawy. Byle tylko dali mi święty spokój.

Przychodziłem rano tuż przed dzwonkiem, zawsze miałem w teczce jakąś książkę, którą czytałem potem przez wszystkie pauzy, i wychodziłem ostatni, starając się uniknąć tłoku w szatni. Żeby móc siedzieć podczas pauzy w klasie, sam się zgłaszałem, że chcę być dyżurnym. W końcu wszyscy się przyzwyczaili, że tylko ja nim jestem, i nawet byli zadowoleni. Bo jedynie w młodszych klasach każdy chce podlewać kwiatki, otwierać okna i myć tablicę. U nas już nikt na to nie miał ochoty. Więc akurat robota dla Pajaka, na coś się przynajmniej wreszcie przydał. I tak mijały szkolne dni. Ciągłe było nas dwóch: ja i „ten drugi”, Pająk. Chyba tylko wieczorami, kiedy już usypiałem i powoli zacierała się granica między tym, co jest a tym, co chciałyby, żeby było - chyba tylko wtedy brałem górę nad Pajakiem. Widziałem go wyraźnie, tak jak widzą mnie oni w klasie: mizernego, nieciekawego Pajaka, którego nikt nie lubi, nawet ja sam, choć ja jeden znam go naprawdę.

Ale dla całej klasy my dwaj byliśmy jednym i tym samym. Bo dla nich wszystkich

byłem przecież tylko Pająkiem i już nikim innym. Dawno zapomnieli, jak mi właściwie na imię.

Dziwne to wszystko, wstaje człowiek rano z łóżka jak co dzień, złości się, że już tak późno, uwija się po mieszkaniu i myśli tylko, czy zdąży zjeść śniadanie, czy bardzo zimno na dworze i żeby czegoś nie zapomnieć, żeby się nie spóźnić. Ani mu do głowy nie przyjdzie, że właśnie tego dnia wydarzy się coś naprawdę ważnego.

Wpadłem do klasy w ostatniej chwili, tuż za mną wszedł nauczyciel. Rozejrzałem się szybko: najbliższe wolne miejsce było koło Andrzeja Kosińskiego. Nie lubiłem go, ale kogo ja właściwie lubiłem? Więc nie namyślając się usiadłem w jego ławce.

- Uważaj, Pająk... - syknął ze złością. - Skoro już tu musisz siedzieć, to przynajmniej nie kop!

11

Kosiński siedział jakoś w ławce dziwnie „na ukos”, mocno wsunięty w ławkę, z nogami wyprostowanymi.

- Nowe spodnie narciarskie, „norwegi”, bardzo wąskie... - wyjaśnił. - Nie chcę wypchać kolan. Usiądź na samym brzegu. Chudy jesteś, to się zmieścisz. Nic ci się nie stanie...

Oczywiście usłuchałem go. „Godzinę wytrzymam choćby i na samym brzegu. A na przerwie przeniosę się gdzie indziej” - pomyślałem.

Gdzieś w połowie lekcji matematyk wyrwał Kosińskiego do tablicy. Ucieszyłem się, bo mogłem wygodniej usiąść. Kosińskiemu zadanie jak zwykle zupełnie nie chciało dać się rozwiązać, więc była nadzieja, że dość długo przy tej tablicy postoi.

W pewnym momencie ktoś z tyłu stuknął mnie lekko w ramię i podał jakąś kartkę.

- List od kobiety, odbieraj! - szepnął.

Odebrałem więc kartkę i położyłem na otwartym zeszycie Kosińskiego. Kartka nie była co prawda zaadresowana, ale jeśli od którejś z dziewcząt, to - rzecz jasna - do Andrzeja. Wiedziałem przecież, że na każdej lekcji prowadzi ożywioną korespondencję.

Przez chwilę trochę mnie korciło, żeby zajrzeć do tej kartki. Choć raz bym się dowiedział, co też te dziewczyny właściwie do niego piszą. Ale powstrzymałem się.

Nie będę czytał cudzego listu. Co mnie w końcu obchodzi, o czym one piszą?

Widocznie jednak obchodziło to Ewę Winkler, która siedziała w ławce przed-nami. Musiała widzieć, że odebrałem jakąś kartkę, bo raz i drugi obejrzała się:

- Pająk! Od kogo to?

- Nie wiem... - mruknąłem.

- To pokaż prędko, zobaczymy!

- Przecież to nie do ciebie! - oburzyłem się.

- Proszę o spokój! - powiedział w tym momencie matematyk. Spojrzałem w jego stronę i zanim się spostrzegłem, Ewa wyciągnęła szybko rękę i zabrała list.

Nie podobało mi się to, ale przecież nie mogłem, ani nie chciałem, szarpać się z nią. „A zresztą, niech czyta - pomyślałem. - I tak ciągle razem chodzą z

Kosińskim, więc on chyba nie ma przed nią tajemnic. A może ona jest zazdrosna o to, że ktoś do Andrzeja pisze?” Rozśmieszyło mnie to trochę i przestałem myśleć o liście.

12

Na przerwie zmieniłem miejsce i dopiero pod koniec drugiej lekcji zorientowałem się, że w klasie dzieje się coś dziwnego. Krążyły kartki, szeptano. Zwłaszcza dziewczęta. Nie wiedziałem zupełnie, o co chodzi, ale też i nie interesowałem się tym.

Przyszła druga przerwa i ledwo nauczycielka wyszła z klasy, koło ławki Ewy Winkler zgromadziło się kilka dziewcząt. Rozmawiały podniesionym głosem, więc po

chwili podeszło tam paru chłopców, zaciekawionych, co się stało. Ja też stanąłem nieco bliżej.

- No i widzicie! Niechby to matematyk złapał! Na kogo by było?
- mówiła głośno Ewa. - Oczywiście na mnie! Bo kto może do Andrzeja listy miłosne pisać? Tylko Winklerówna prawda? Bo Winklerówna w ogóle jest najgorsza!
- i Ewa zaczęła przedrzeźniać piskliwy głos naszej kierowniczkii: - Winklerówna lata za chłopcami, ma przewrócone w głowie, Winklerówna miała kiedyś szminkę w teczce, wszystko tylko Winklerówna! No, więc macie. Proszę bardzo, jakiś niewinny anioł się znalazł! List miłosny do Kosińskiego napisać to potrafi, ale podpisać to już się bał!

Kiedy tego słuchałem, wydawało mi się nawet, że właściwie to Ewa ma rację. Gdyby list złapano, pewnie wszystko byłoby na nią... Ale nigdy bym nie przypuszczał, że może w niej być aż tyle złości.

- A kto to pisał? - spytała któraś z dziewcząt. Przez chwilę było cicho. Ewa rozglądała się po klasie.

- Właśnie! Która pisała te świństwa? - i podniosła do góry list.

- Co? Świństwa? No to przeczytaj głośno! Będzie zabawa!

- ucieszył się Dziurdziała.

- Dobry pomysł! Daj, Ewa, list! - zawołał Andrzej Kosiński.

- Przeczytam głośno!

Nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego, ale zrobiło mi się w tym momencie jakoś nieprzyjemnie. I już zamierzałem odejść, kiedy nagle odezwała się Anka Sochacka:

- Nie kłam, Ewa! Tam nie ma żadnych świństw! Żadnych... I to nie jest list do Kosińskiego...

Była bardzo czerwona, zdenerwowana. Urwała nagle, jakby nie mogąc złapać oddechu.

- Więc to ty pisałaś? Bardzo dobrze, bardzo dobrze! - śmiała się nieprzyjemnie Winklerówna. - Wzorowa Ania pisze listy miłosne! A to się pani kierowniczka ucieszy...

13

Nie tylko ja byłem zaskoczony, że to właśnie Sochacka napisała ten list.

Dziewczyn popatrzyły na siebie, Dziurdziała gapił się raz na Ewę, raz na Ankę. A Wikarek spojrział na mnie, bo stałem obok niego i wzruszył ramionami. Jakby chciał powiedzieć: „widziałeś, co też się dzieje na tyTM świecie?” Ale najbardziej chyba zdumiony był Andrzej Kosiński. Pokiwał głową i wyciągnął rękę po list.

- No, dawaj go, Ewa! Jeśli to od Anki, to musimy przeczytać na głos, koniecznie!

- Andrzej! Zostaw to mnie, bo pożałujesz! - powiedziała Ewa jakimś dziwnym, bardzo niemiłym tonem i nagle, patrząc na jej skrzywioną twarz, pomyślałem, że przecież ona wcale nie jest tak ładna, jak mi się zdawało.

Kosiński zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „to właśnie o mnie ta cała afera, widzicie?” Był najwyraźniej zadowolony z siebie.

- Anka do mnie? Też coś - mruknął drwiąco.

Roześmiał się, jak z najlepszego dowcipu, i ruszył w stronę drzwi godnie, sztywno, prawie nie zginając nóg, żeby w tych swoich nowych „norwegach” nie wypchać kolan.

- Zarozumiały cham! - odezwała się Domańska. - Bałwan jeden! Myślałby kto, amant filmowy.

Anka Sochacka opuściła głowę, była teraz zupełnie blada. Zaciskała ręce na oparciu ławki i tak stała bez słowa. A ja - nie wiem czemu - poczułem się chyba jeszcze gorzej niż wtedy, gdy cała klasa śmiała się ze mnie, że niby pajak zakochał się w Winklerównie. A przecież wtedy wydawało mi się, że już gorzej

czuć się nie można.

Przez chwilę panowała napięta nieprzyjemna cisza. Wszyscy chyba czuli, że na ich oczach rozgrywa się jakieś wielkie świństwo, tylko nie widzieli jeszcze jego twarzy, nie potrafili nazwać go po imieniu i wyrzucić stąd razem z jego aktorami. A może nie każdy też wiedział, kto tu jest winien, a kogo trzeba bronić? Nawet głupek Dziurdziała zrobił jakąś bardzo niewyraźną minę. Nawet on, który zawsze potrafi znaleźć powód do śmiechu, nie miał ochoty albo odwagi roześmiać się teraz.

- Skończcie już z tym... — odezwała się cicho któraś z dziewcząt.

- Właśnie! Dajcie spokój, to wstyd! - dodała inna.

- Co? Akurat! Ani mi się śni! - rzuciła się Ewa. - Zawsze te

14

stare baby tylko do mnie mają pretensję. No, to ja teraz pokażę, kto tu się u nas do chłopaków przyczepia, kto tu jest najgorszy!

- Ewa, po co kłamiesz? Na tej kartce nie było nic strasznego, przecież wiesz dobrze... Oddaj mi ją. Albo zniszcz, Ewa! Co ja ci zrobiłam? Czego ty chcesz?...

To mówiła Anka. Była teraz jakby trochę spokojniejsza, albo raczej próbowała się na tyle opanować, żeby spokojnie powiedzieć tych parę słów.

Przerwała jej Baśka Wolska, przyjaciółka i nieodłączny cień Ewy.

- Ewa! A może lepiej zanieść to do jej matki? Niech się dowie!

- poddała myśl.

- Zastanowię się, mam czas! - odpowiedziała Winklerówna.

- Oddajcie ten list Ance i niech się na drugi raz nie wygłupia!

- wtrącił się Wikarek. - No, szybko?

Powiedział dokładnie to, co i ja chciałem powiedzieć. Gdybym się tylko odważył.

Ale ani ja się nie odważyłem, ani Ewa nie oddała listu. Schowała go do kieszeni fartucha i usiadła w ławce. Wszyscy musieliśmy wrócić do ławek, zaczęła się następna lekcja.

Już drugi raz tego dnia przesiadałem się. Teraz usiadłem koło Wikarka. Nawet się nie zdziwił. Widziałem, że i on jest tym wszystkim zdenerwowany. Przyszło mi do głowy, że jeśli się rozżłości, to może coś dobrego z tego wyniknie.

- Wikarek, czego Ewa właściwie od niej chce? - zagadnąłem szeptem. Siedzieliśmy w ostatniej ławce, więc można było gadać.

- Jak to się skończy? Przecież będzie awantura na całą szkołę!

- No chyba! - zgodził się. - Matka Ewy to pięknie rozrobi. Tamta wyjdzie na najgorszą w klasie, a Ewa na świętą Teresę, zobaczysz. Wstrętne baby! Ale po co ona pisała do tego kretyna? Taka fajna dziewczyna, czy ona go nie zna, czy jak?

- Może zakochana w Kosińskim? - powiedziałem i jakoś od razu wydało mi się to dziwnie głupie. Wikarkowi pewnie też, bo spytał:

- A ty byś się zakochał w Kosińskim?

- Ja?

- No, sam widzisz, że nie. A myślisz, że Anka jest głupsza od ciebie? -

tłumaczył mi. A potem dodał: - Swoją drogą, to ja mu gębę jutro zbiję! Zobaczysz, Pająk, jak go zleję!

15

- Za ???

- Bo Ewy przecież nie mogę, ? Jemu też się należy. Nie przejmuj się, jakiś powód zawsze znajdę ~ i Wikarek zamyślił się, pewnie nad znalezieniem powodu.

- No, tak. Ale Sochackiej to niewiele pomoże!

- Jasne, że nie... - mruknął Wikarek. - Jej to już nic nie pomoże. Szkoda dziewczyny... Żeby Winklerówna była choć w połowie taka jak Anka, to już by było dobrze. Ale Ewka... e, tam, szkoda nawet gadać!

I nagle spojrział na mnie ostro.

- Ty, Pająk, tylko sobie nie pomyśl, że ja do Anki tego... no, wiesz... że ja coś do niej czuję!

- W ogóle nic nie myślę! - odpowiedziałem. Ale to nie była prawda. Przez całą lekcję myślałem o Ance Sochackiej.

Na ostatniej przerwie mogłem już iść do domu. Z gimnastyki byłem zwolniony. Uprosiłem kiedyś matkę, żeby załatwiła ze szkolnym lekarzem zwolnienie na całe półrocze. Lekarz znalazł oczywiście jakiś tam powód, żeby zwolnienie Wydać, ale prawdziwym powodem było to, że nigdy nie potrafiłem przeskoczyć przez konia. Nasz nauczyciel w każdą gimnastykę na sali rozpoczynał od tego właśnie ćwiczenia, więc też każda gimnastyka nieodmiennie zaczynała się śmiechem ze mnie. Mogłem więc iść do domu, ale nie poszedłem. Podczas tej ostatniej przerwy Anka wyszła z klasy razem z Kamińska. Stały przy oknie. Anka była pochylona, chyba płakała. Kręciłem się po korytarzu, zupełnie bez celu, tak jakbym chciał coś zrobić, ale nie wiedział co. Miałem ochotę podejść i jakoś spróbować pocieszyć ją, powiedzieć, że może Winklerówna tylko straszy, ale w końcu odda jej ten list... Nie mogłem jednak tak po prostu powiedzieć tego Ance. Nigdy przecież nie rozmawiałem z nią, prawie jej nie znałem, jeśli można się nie znać, chodząc od paru lat do jednej klasy. A chyba jednak można.

Cóż zresztą pomogłoby Sochackiej, gdyby nawet jakiś tam Pająk odważył się i powiedział: „nie przejmuj się”. I ona wiedziała, i ja wiedziałem, że Ewa nie ustąpi, nie odda listu. Co najwyżej mógłbym więc usłyszeć, jeśli nawet nie od Anki, to od Kamiriskiej, żebym się nie wtrącał w nie swoje sprawy. Niby co ja tu mogłem zrobić?

16

Wróciłem do klasy po teczkę, postanowiłem iść do domu. Szedłem korytarzem bardzo powoli. Anka wciąż stała przy oknie, ale teraz nie było już tam Kamińskiej. Ominąłem pierwsze schody, doszedłem do okna i skręciłem w stronę biblioteki. Byłem zaledwie o parę kroków od Sochackiej. Nie mogła mnie jednak widzieć, była odwrócona plecami. Jeszcze bardziej zwolniłem, jakbym czekał na coś, choć przecież na nic nie czekałem...

- Jarek!

Nie od razu odwróciłem się. Jeszcze jeden krok i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to przecież do mnie. Gdyby zawołała „Pająk!” - wtedy od razu wiedziałbym, że mnie woła. Byłem przecież w szkole, tu nikt nie mówił do mnie po imieniu.

- Jarek!

Wróciłem i stanąłem przed nią bardzo blisko. Obok przebiegali uczniowie z młodszych klas, było już po dzwonku.

Chciałem spytać: „słucham, czego chcesz?” Ale nie spytałem.

Anka miała bardzo smutną twarz i czerwone od płaczu oczy. Była jednak spokojna, jakby pogodziła się już z tym wszystkim, rozumiała, że nie pomoże płacz, że trzeba po prostu poczekać na to, co musi przyjść. Patrzyła na mnie w milczeniu tak długo, że aż wydawało mi się, jakby w ogóle nie pamiętała, że przecież zawołała mnie przed chwilą. Jakby była zdziwiona, że tu przed nią stoję.

- Jarek, pomóż mi jakoś... - powiedziała cicho.

Nie spodziewałem się, że właśnie to powie. I nagle jakbym się znalazł gdzieś na olbrzymiej pustyni; dookoła pusto, nie ma nawet o co wzroku zaczepić, stoję zupełnie bezradny, sam, z tym swoim głupim i śmiesznym pytaniem: ja? Patrzyliśmy na siebie.

„Do kogo się zwracasz? Do mnie, do Pajaka? - myślałem. - Dlaczego do mnie? Cóż ja ci mogę pomóc? Ty choć przez chwilę w to wierzysz? Czego ty właściwie chcesz

ode mnie, Sochacka? Parę lat chodzimy razem do jednej klasy i nigdy nie byliśmy sobie do niczego potrzebni. Nawet bym pewnie nie zauważył, gdybyś przeniosła się do innej szkoły. Przecież w klasie miałaś przyjaciółki, kolegów... Więc dlaczego właśnie do mnie się zwracasz? To prawda, że dzisiaj zrobiło mi się ciebie żal. A może nawet nie żal, może bardziej przeraziło mnie, zabolowało, że ktoś chce zrobić wielkie draństwo i nikt temu nie

- Księżniczka i chłopcy

17

może przeszkodzić. Skoro nikt nie może, to właśnie do Pajaka się zwracasz?

Wierzysz, że on to robi? Naprawdę wierzysz? To się nie mieści w głowie, Anka. Przecież to ty pierwsza nazwałaś mnie Pajakiem. Dlaczego właśnie ja miałbym ci teraz pomóc?"

- Jarek... pomożesz mi jakoś?

Nie powiedziałem ani jednego słowa. Nie musiałem podejmować decyzji. Sama przyszła. Jakby była już we mnie od dawna i tylko czekała na tę chwilę. To nie Pajak stał teraz przed Anką, bo i nie jego zawołała. To byłem ja, taki, jakiego znałem z tych wszystkich chwil przed zaśnięciem, kiedy zaciera się granica między tym, co jest naprawdę, a tym, co chciałbym, żeby było...

Powoli skinąłem głową, choć nie wiedziałem, jak to zrobić, w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, w jaki sposób można by jej pomóc.

Zbiegłem do szatni. Zanim ubrałem się, miałem już gotowy plan. Wcale nie rozmyślałem nad nim, sam się znalazł. Wszystko nagle wydało się śmiesznie proste. Może nie łatwe, ale właśnie proste.

Usłyszałem, jak obok szatni przechodzi moja klasa. Wiedziałem, że dziewczęta będą się rozbierać w korytarzyku przed salą gimnastyczną, a chłopcy na sali. Tak było zawsze.

Spokojnie zasznurowałem buty, zapiąłem teczkę. Oczekałem jeszcze parę minut rozglądając się po szatni, jakbym ją pierwszy raz widział. Wreszcie z sali gimnastycznej dobiegł przytłumiony, rytmiczny tupot nóg. Rozgrzewka. Za chwilę dziewczęta przejdą w jeden kąt sali, do drabinek, a chłopcy zaczną skakać przez konia...

Wyszedłem z szatni. Nie było nikogo. Pchnąłem drzwi do korytarzyka. Bez trudu odnalazłem piękny, czerwony sweter Ewy Winkler. Poznałbym go nawet wśród stu innych, w tym swetrze Ewa zawsze mi się najbardziej podobała.

Pod swetrem wisiał szkolny fartuch. Wyciągnąłem rękę. Wiedziałem, co ryzykuję. Ktokolwiek wszedłby tutaj w tej chwili, miałby prawo krzyknąć: „złodziej!"

Nie czułem strachu i nie wahałem się. Wiedziałem, co robię. Jedna kieszka, druga... Nie ma kartki. Więc jeszcze raz: jedna, druga... Jest coś. To portmonetka. Cofnąłem się o krok i otwarłem ją.

Jest list! Zwykła kartka z zeszytu, zwinięta kilka razy. To ta, miałem ją przecież w ręce tam, w ławce.

18

I nagle usłyszałem czyjeś kroki od strony szatni. Wsunąłem kartkę do kieszeni i gwałtownie odskoczyłem od wieszaka. Stałem teraz przy drzwiach. Kroki ucichły, ten ktoś zatrzymał się, jakby miał zamiar wejść do korytarzyka. Bez chwili namysłu wsunąłem portmonetkę za kaloryfer.

Wyszedłem. Obok drzwi stał palacz, tędy zawsze przechodził do kotłowni. Stał i wyjmował papierosa. Nie zwrócił na mnie uwagi. Mogłem wrócić i włożyć portmonetkę tam, skąd ją wzięłem. Ale teraz już się bałem.

Wybiegłem przed szkołę. Zatrzymałem się dopiero na rogu, koło kiosku. Stałem tak, żeby zasłaniał mnie od strony szkoły, choć przecież nie miało to żadnego znaczenia. Wyjąłem z kieszeni list i podarłem go na drobne kawałki. Rozsypałem

je dookoła siebie i z jakąś wściekłą pasją zacząłem wgniatać butami w śnieg.

Nawet mi do głowy nie przyszło, że mogłem ten list przeczytać.

Następnego dnia pierwsza lekcja była z wychowawczynią. Pani Wątowska sprawdziła listę i wyjęła notes, w którym stawiała stopnie. „Będzie pytać - byle nie Sochacką, bo ta jej dzisiaj nic nie odpowie!” - pomyślałem. Martwiłem się o Ankę. Siedziała sztywno, zapatrzona w ścianę.

- Kto przypomni, o czym mówiliśmy ostatnio? - zaczęła pani Wątowska. I właśnie wtedy wstała Ewa Winkler.

- Proszę pani! Mnie wczoraj na gimnastyce zginęła portmonetka. Tam były pieniądze.

Klasa poruszyła się niespokojnie. A ja poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego... Zdrętwiałem, ogarnęło mnie przerażenie. Więc jednak... złodziej!? Ja jestem złodziejem? Co teraz? Jeśli już zrobiłem tamten pierwszy krok, jaki powinien być drugi? Staralem się nie patrzeć na Ankę. Tak, teraz tylko nie spojrzeć na Ankę... w żadnym wypadku nie wolno mi na nią spojrzeć. Co ona myśli? Co ona myśli o mnie?

Gdzieś z daleka, z bardzo daleka, docierał głos wychowawczyni:

- Kradzież? U nas? To chyba niemożliwe... Od kilku lat nic przecież w naszej klasie nie zginęło. Powiedz, jak to było?

Ewa patrzyła rias Sochacką złym, mściwym wzrokiem i mówiła bardzo powoli:
19

- Bo, proszę pani, w tej portmonetce był list miłosny, który Anka napisała do Andrzeja Kosińskiego. Właśnie chciałam to pani dzisiaj pokazać. Ale list zginął. Ktoś go ukradł... I pieniądze też!

Wciąż nie mogłem zebrać myśli. Tam nie było chyba pieniędzy, nie widziałem ich... Ewa kłamie, na pewno kłamie! Jest gorsza, niż myślałem. Ale co będzie? Nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. W pełni zdawałem sobie sprawę, czym to wszystko grozi. Anka już się teraz nie uratuje, nie potrafi się obronić! Nikt nie uwierzy, że to nie ona ukradła. Przecież tylko Sochnacka mogła być zainteresowana w odebraniu tego listu. A jeśli zginęła cała portmonetka? Nikt Ance nie uwierzy, że nie wzięła pieniędzy... Wyrzucą ją ze szkoły. Winklerówna nie ustąpi. I ta jej matka... Rany boskie, co ja zrobiłem?!

Co teraz? Powiedzieć, że to ja? Ale co będzie wtedy ze mną? I czy to Sochackiej coś pomoże? Czy oni mi w ogóle uwierzą? Pająk ukradł list i pieniądze? Pająk? Klasa nie uwierzy i nauczyciele też nie. Powiedzą co najwyżej, że głupi Pająk - nie wiadomo czemu - chce ratować Sochacką i dlatego bierze winę na siebie. Bo niby taki szlachetny! Więc co teraz robić?

Pani Wątowska rozejrzała się po klasie, jakby zupełnie nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Ale klasa milczała. Wszyscy wpatrywali się w Sochacką.

- Anka! Co to wszystko znaczy? - zdenerwowała się wychowawczyni. - Może wreszcie coś odpowiesz!

- To nieprawda - powiedziała cicho Anka i odwróciła się w stronę Winklerówny. - To nieprawda - powtórzyła.

Ewa uśmiechnęła się drwiąco. Dobrze wiedziała, że jest górą, że takie zwykłe „nieprawda” nic Ance nie pomoże.

- Nieprawda? A sto złotych ukradziono. Wyparowało, co? Razem z twoim listem... I wtedy sytuację uratował Wikarek. Nie sądzę, żeby specjalnie chciał odwrócić uwagę od Anki. Po prostu raczej wyrwało mu się szczerze to, co pomyślał.

- To bardzo dobrze! - powiedział głośno, prawie wesoło. - Bardzo dobrze! Wiedziałem, że niektórzy, zwłaszcza chłopcy, uśmiechnęli się w tym momencie. Chyba nie tylko Wikarek ucieszył się, że list zginął i że Winklerówna straciła sto złotych.

- Wikarek! Co ty chciałeś przez to powiedzieć? - spytała ostro pani Wątrowska. Wikarek wstał, wzruszył ramionami i z bezczelną miną odpowiedział:

- Chciałem powiedzieć: bardzo dobrze, że ukradli jej sto złotych, a nie, na przykład, pięćset! To bardzo dobrze! - i usiadł.

Dziurdziała zachichotał i nastrój w klasie nieco się zmienił. Jakby na chwilę wszyscy zapomnieli, o co tu właściwie chodzi i co grozi Ance.

Skorzystałem z okazji. Wikarek bardzo mi pomógł, nie wiedząc nawet o tym. Byłem już teraz zupełnie spokojny. Sam siebie nie poznawałem. Pająk chyba nigdy by się na to nie zdobył. A ja wstałem i powiedziałem głośno:

- U nas w klasie nie mogło nic zginąć! Może Winklerówna zgubiła te pieniądze w szatni albo gdzieś tam... o ile je w ogóle miała. Trzeba spytać woźną i palacza. Mógł ktoś znaleźć!

Udawałem, że nie widzę zdziwienia klasy. Pewnie sobie teraz myślą: „Pająk się odezwał! Koniec świata!” I jakby nawet rozśmieszyło mnie trochę to ich zdziwienie. Co wy wiecie? To nie Pająk! Pająk by siedział cicho i nie wtrącał się. Ale to nie Pająk stoi teraz przed wami. To ja stoję. Zupełnie spokojny, choć wiem, że ryzykuję. Ale też wiem, co chcę zrobić, i wiem dobrze, dlaczego. Więc musi się udać!

- Bardzo słusznie! Chociaż jeden rozsądny! - powiedziała pani Wątrowska. - Od tego należało zacząć. Więc niech dyżurny idzie spytać woźną...

W jednej chwili byłem przy drzwiach. Nawet nie pomyślałem o tym, że taki pośpiech może się wydać podejrzany.

- Co, znowu ty jesteś dyżurnym? - zdziwiła się wychowawczyni. Otwierając drzwi usłyszałem, jak Dziurdziała zażartował:

- On zawsze jest dyżurnym. On ma taki etat!

Zupełnie się tym nie przejąłem, choć dawniej na pewno czułbym się urażony. Bo znowu śmiali się z Pajaka. Ale cóż mnie to mogło w tej chwili obchodzić. Teraz nie byłem przecież Pajakiem, byłem sobą, tym prawdziwym.

Zbiegłem do szatni. Na szczęście pusta! Sięgnąłem za kaloryfer. Jest portmonetka! Odetchnąłem z ulgą: to się nazywa mieć szczęście.

Wyszedłem na schody i dopiero tam zajrzałem do portmonetki: w jednej z wewnętrznych przegródek był czerwony banknot. Więc jednak Ewa nie kłamała, że miała pieniądze. Przynajmniej tego nie można jej zarzucić.

Pochodziłem chwilę po korytarzu, żeby nie wrócić za szybko, potem zatrzymałem się na moment przed drzwiami, wziąłem głęboki oddech i wszedłem do klasy. Jakby nigdy nic, powiedziałem:

- Jakąś portmonetkę znalazł palacz. To ta? Bo jak nie, to muszę odnieść!

- Tak, to moja. Pokaż! - Winklerówna była chyba bardziej zdziwiona niż uradowana. Szybko otworzyła portmonetkę:

- Jest sto złotych... Ale nie ma tego listu! Pająk, gdzie jest list? prawie krzyknęła na mnie.

- A cóż to, Pająk jest listonoszem, żeby wiedział? - wysilił się znowu na dowcip Dziurdziała i klasa zaczęła się śmiać. A ja po raz pierwszy byłem im wdzięczny za to, że śmieją się z Pajaka. Śmiałem się razem z nimi.

- Jeśli to twoja portmonetka i pieniądze są, wszystko jest w porządku! - powiedziała pani Wątrowska i spojrzała na zegarek.

- Ale, proszę pani... - zaczęła Ewa.

- Nie zwracaj ty mi głowy! I tak już straciłam przez ciebie pół lekcji. Siadaj wychowawczyni miała wyraźnie dosyć całej tej sprawy.

I wtedy znowu z końca klasy odezwał się Wikarek:

- Bardzo dobrze! - powiedział głośno. - Doskonale! Zupełnie wyprowadzona tym z równowagi pani Wątrowska krzyknęła:

- Wikarek! Uspokój się w tej chwili!

A Wikarek wstał i uśmiechnął się bezczelnie, tak jak to tylko on potrafił.

- Przepraszam. Ja tylko chciałem powiedzieć: to bardzo dobrze, że Pająk odnalazł pieniądze. No, nie?

Wróciłem do ławki i otworzyłem zeszyt z notatkami. Jakby nigdy nic, zupełnie tak, jak to właśnie zrobiłby Pająk, którego przecież nigdy nie obchodziło, co - poza lekcją - dzieje się w klasie, zaproponowałem:

- To może ja przypomnę, co było z historii na poprzedniej lekcji!

22

Udało się, uratowałem Ankę. Wygrałem. Dopiero teraz mogłem na nią spojrzeć. I chyba nigdy jeszcze nie czułem się taki szczęśliwy, jak w tej chwili.

W klasie było zupełnie cicho, jak po burzy. Lekcja toczyła się normalnie.

Wikarek, koło którego siedziałem, napisał na kartce: Kosińskiego nalałem wczoraj wieczorem, bo natarł śniegiem moją siostrę. Więc załatwione.

Kiwnąłem głową. Wydała mi się nagle ta nasza klasa najmiłsza pod słońcem. Nawet Dziurdziała, jak mu się dobrze przypatrzeć, jest zupełnie do rzeczy. Głupi, bo głupi, ale wesoły chłopak.

Tylko Ewa Winkler nie jest już tamtą Ewą, jedyną dziewczyną, która mi się podobała. I Anka nie jest już jak powietrze. Stąd, z ławki Wikarka, widzę ją wyraźnie. Siedzi z Kamińska, pochylona nad zeszytem, notuje. Ale wydaje mi się, że widzę jej twarz: jest uśmiechnięta...

Zima była długa i bardzo mroźna. Ale nawet najbardziej długa zima pewnego dnia dochodzi do wniosku, że nikt już nie ma na nią ochoty, więc szarzeje, zamienia śnieg na błoto i - tracąc sympatię do siebie - zupełnie się zniechęca. Wtedy ludzie mówią, że zaczęła się wiosna i nikt już nie myśli o zimie, bo po co wspominać to, co niedobre.

Diabli wzięli Pajaka.

Coraz częściej znajdowałem teraz okazję, żeby rozmawiać z Anką. Nie wspominaliśmy o tamtym wydarzeniu z listem. Nigdy nie powiedziała mi: „dziękuję, Jarek, że mi pomogłeś.” To bardzo dobrze. Bo wcale nie jestem pewien, czy to nie ja właśnie-powinienem jej powiedzieć: „dziękuję, Anka, że mi pomogłaś.”

Ktoregoś jednak dnia, kiedy wracaliśmy razem ze szkoły wcześniej niż zwykle, bo była jakaś konferencja, przypomniała mi się cała ta historia z listem. Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem:

- Wiesz? Ja go wtedy nawet nie przeczytałem... Dlaczego napisałaś ten list? Co mu wtedy napisałaś?

- Komu? - zdziwiła się.

- No... wiesz, mówię o tym liście do Kosińskiego....

23

Anka zatrzymała się tak nagle, że aż się przestraszyłem. Może nie trzeba było wspominać, może ona się obrazi... Po co przypominam jej to wszystko, co wtedy przeszła...

Przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie tak jakoś dziwnie, że zupełnie nie wiedziałem, co ona teraz myśli.

- Jarek! Więc ty nie przeczytałeś tej kartki wtedy, tam w ławce? Nie tobie ją podano? Przecież Kosiński stał przy tablicy...

- Położyłem kartkę na jego zeszycie i stamtąd zabrała ją Ewa. Chyba wiesz o tym? I teraz Anka zaczęła się uśmiechać. Powoli, jakby ten uśmiech przychodził do niej gdzieś z zewnątrz, z daleka. Powiedziała cicho.

- Ty głuptasie... Jarek, ty naprawdę nie wiedziałeś? Nic? No, więc dlaczego mnie wtedy ratowałeś? Oj, Jarek, Jarek! Ty w ogóle nie czytałeś tej kartki... I do dzisiaj nic nie wiesz? Więc posłuchaj, bo znam to na pamięć: Powiedz, dlaczego udajesz, że mnie nie widzisz? Dlaczego nigdy nie odezwiesz się do mnie? Jakby mnie nie było w klasie. Co ja ci zrobiłam? Dlaczego taki jesteś? Słyszysz? Jarek, przecież ten list był do ciebie! Nigdy nie pisałam do Kosińskiego, ty nie zwracałeś na mnie żadnej uwagi, nie wiedziałam dlaczego... I napisałam kartkę, bo wstydziłam się to wszystko powiedzieć. Czy to nie śmieszne? A list nie doszedł do adresata!

Nie potrafiłbym wytłumaczyć, co wtedy czułem, Oj, Anka! Więc ta historia z listem to była ostatnia zemsta Pająka? Nad tobą i nade mną? Zupełnie nie pamiętasz, że właśnie ty pierwsza powiedziałaś kiedyś: „pająk”, że ty mi tego „pajaka” wrzuciłaś na plecy? A może nie ty? Może on był we mnie ukryty już wcześniej, a ty go tylko nazwałaś przypadkowym imieniem? Ale już nie ma go we mnie. Więc czy jest teraz sens o tym wszystkim mówić? Diabli wzięli Pająka! I w końcu nie powiedziałem ani słowa.

Anka odwróciła się i pobiegła do domu. A ja stałem jeszcze przez chwilę i uśmiechałem się. Wciąż do niej.

24

! . ??>' ' •• ? "... ?^???-" , - rf:.-H

?

I eraz już im się nie śpieszyło, mieli czas. Widzowie dawno wyszli z sali gimnastycznej, przeciwnicy na pewno dojechali już do swoich domów. Wielka rzecz: niby inne miasto, a w sumie najwyżej dwadzieścia minut jazdy tramwajem. Pan Kaliński posiedział tu chwilę i też poszedł. Cóż, on, nauczyciel wf, miał się powiesić z powodu przegranego meczu? W domu ma chorą żonę, sam to powiedział, śpieszyło mu się, jasne. Drużynowy? Zaraz po meczu przepadł gdzieś. Uściskał dłoń kierownikowi szkoły, odprowadził do drzwi pana inspektora i już nie wrócił. Może poszedł pokazać przeciwnikom, gdzie jest przystanek, żeby nie zabłądzili? W sporcie przegrywający powinien się uśmiechać, bo tak jest ładniej. Dopóki nie zostanie sam.

Mieli czas. W pustej szkole został tylko nocny woźny i oni. Która mogła być? Ósma? Woźny i tak musi całą noc siedzieć, więc jaka dla niego różnica, czy zamknie szkołę trochę wcześniej czy trochę później. A zresztą kierownik na pewno mu powiedział: „panie Gawlik, tam na dole chłopcy myją się i ubierają. Niech pan ich nie pogania. I tak są załamani tym całym meczem!” Coś chyba musiał powiedzieć, bo woźny nie zaglądał tu do nich i nie przynaglał. A może się po prostu zdrzemnął w korytarzu?

Byli więc sami. Sześciu zawodników ze szkolnej drużyny siatkówki. Same asy, zgrany zespół. O mały włos - najlepsi w powiecie. „Zielone koszule”, ładna nazwa, nawet już raz w gazecie ich chwalono. Sześciu i on, rezerwowi, Pawlicki z siódmej ?

27

Szumiała woda, musieli czekać w kolejce, były tylko dwa prysznicze. W kącie leżały piłki. Na ławce - porozrzucone koszulki. Sześć zielonych, jasnozielonych, z czarnymi lilijkami na kieszonkach. I jedna inna, w pionowe, czerwone pasy.

- Jesteś świnia! I to wszystko. Nie ma o czym gadać...

- Nawet mu w gębę nie warto dać... A zresztą, co by to teraz pomogło?

- Nie idzie o to, żeby pomogło, tylko żeby miał nauczkę. Przyda mu się na przyszłość...

- Nic mu się nie musi przydawać. Nie będzie żadnej przyszłości. On już nie

zagra w tej szkole!

- Też prawda. Chyba, że po moim trupie!
- Wiecie, że patrzeć na tego drania nie mogę! Może byś już poszedł w diabły? Po co tu siedzisz?

Pawlicki nawet gdyby chciał, nie umiałby odpowiedzieć, dlaczego tu jeszcze z nimi jest, dlaczego nie poszedł od razu po meczu do domu. Więc nie usiłował odpowiadać, siedział bez słowa i nie wiadomo na co czekał. W pierwszej chwili bronił się, próbował im coś tam tłumaczyć. Ale był za bardzo zaskoczony tym wszystkim, żeby znaleźć jakieś argumenty. A zresztą, od początku nie zamierzali wcale z nim dyskutować. Dla nich wszystko było zupełnie oczywiste.

- Świnia i zdrajca!
- Nie będzie teraz miał łatwego życia w szkole...
- Chłopaki mu ręki nie podadzą, zobaczycie...
- A może on zmieni szkołę, przeniesie się do tamtych?

- Coś ty? Trzy miesiące przed końcem roku?

- Co wy się nad nim zastanawiacie? Niech się sam o siebie martwi!

„Zielone koszule” miały właściwie mecz wygrany jeszcze przed jego rozpoczęciem. Mogli wygrać, ale wtedy mecz w ogóle by się nie odbył.

Sala była już pełna, kibice z jednej i drugiej szkoły zaczęli się niecierpliwić. Głośne tupanie dochodziło aż tutaj, do szatni. Tymczasem przeciwnicy wciąż nie mieli pełnej drużyny. Ich nauczyciel denerwował się, co chwilę wybiegał przed szkołę, znowu wracał.

28

Pan Kaliński też patrzył bez przerwy na zegarek. Byli już spóźnieni ponad piętnaście minut. Z sali gimnastycznej kierownik przysyłał chłopaków, jednego po drugim, żeby spytać, kiedy wreszcie rozpoczną. Kto wie, czy to właśnie nie on miał największy powód do zdenerwowania. Chciał się pochwalić swoimi chłopcami przed wizytującym szkołę inspektorem. A teraz siedzieli obaj na sali, słuchając wrzasków i tupania dobrej setki uczniów, niezadowolonych ze spóźnienia.

Inspektor krzywił się coraz bardziej.

Obie drużyny od dawna były przygotowane do wyjścia na salę. Tylko jedna pasiasta koszulka wciąż czekała na ławce. Nie mieli szóstego, nie mogli grać.

Kapitan „Zebr” rozkładał bezradnie ręce, tłumacząc się swojemu trenerowi:

- No, nie wiem... Zupełnie nie wiem, co im się mogło stać. Leszek jest chory, ale Sosnowski i Walczak powinni przyjechać. Rano w szkole byli... Może im coś w domu wypadło?

- Ale przecież musimy znaleźć jakieś wyjście! Naprawdę nie masz ani jednego chłopaka w rezerwie? Co z ciebie za kapitan?

- Właśnie Walczak był rezerwowym! A teraz już nie mamy kogo wprowadzić na boisko. Przecież nie wezmę przypadkowego chłopaka z widowni... będziemy się o niego przewracali.

- No, więc co teraz?

- Chyba nie ma innego wyjścia, tylko trzeba odwołać mecz...

- Odwołać? - roześmiał się któryś z zawodników „Zielonych koszul”. - Chciałeś pewnie powiedzieć, że trzeba będzie ogłosić walkower!

- Zwariowałeś chyba! - oburzył się pan Kaliński. - Chcesz, żebym teraz wyszedł na salę i ogłosił, że mecz się nie odbędzie? Ty wiesz, jaki powstanie wszask? Co powie inspektor? Nie możemy się wygłupić! Kierownik by nam tego nigdy nie darował... Mecz się musi odbyć!

- Oczywiście! Zupełnie się z kolegą zgadzam! - potwierdził trener „Zebr”. - Nic wam nie da walkower. W interesie obu drużyn jest, żeby mecz się odbył... Inaczej

wszyscy się ośmieszymy. A najbardziej my dwaj, pan i ja!

„Zebry” podniosły wrzask:

- Więc co, mamy grać w piątkę? Przecież to niemożliwe!

29

- Lepiej z góry powiedzieć, że przegraliśmy i już!

- Poczekamy jeszcze trochę, może ktoś z naszych przyjdzie.

- Do kitu taki interes!

- Ja nie będę grał! Chodźcie, chłopaki, do domu!

- Cisza! - krzyknął trener. - Przestańcie się stawiać!

- Uwaga... - powiedział pan Kaliński, który stał najbliżej drzwi.

- Tędy, panie inspektorze, proszę tędy... - usłyszeli z korytarza głos

kierownika. - O, właśnie tutaj jest szatnia, a w niej nasi sportowcy...

W szatni zrobiło się cicho.

- Dzień dobry, chłopcy - inspektor przywitał się z obu drużynami. - Długo

każecie na siebie czekać. Są jakieś kłopoty? Nie możecie zacząć meczu?

- Ależ panie inspektorze! Jakie mogą być kłopoty? Zaraz zaczynamy... -

powiedział pan Kaliński.

- No, myślę! - mruknął ostro kierownik. I dodał z naciskiem:

- Tak właśnie przypuszczałem, że zaraz zaczniecie!

- To nasza wina! Spóźniliśmy się trochę, panie inspektorze...

- tłumaczył trener „Zebr”. - Ale już kończymy się ubierać!

- Tak, tak... Zaraz wychodzimy na salę! Za pięć minut! - zapewniał pan Kaliński.

Drużyna „Zielonych koszul” uśmiechnęła się ironicznie, kierownik zauważył to.

- Czemu robisz miny? - spytał pierwszego z brzegu chłopaka.

- Nie możemy zacząć meczu, panie kierowniku, bo nie ma kompletu...

- Jak to nie ma? - zdziwił się inspektor. - Przecież sala pełna...

- O nich chodzi, o „Zebry”... Brak im jednego zawodnika!

- O, to kłopot... I co zrobicie?

Chłopcy wzruszyli ramionami, obaj trenerzy spieszyli się, a kierownik podsumował:

- Dacie sobie jakoś radę! Tylko proszę bez żadnych walkowerów. To nie jest

pierwsza liga, gdzie chodzi o punkty. Mecz się musi odbyć. Macie kolegą na sali

pokazać ładną grę i to wszystko. Nie idzie o wynik... No, za pięć minut

zaczynajcie! Chodźmy na salę, panie inspektorze...

30

Inspektor jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Wyszli.

- Musieliście się odzywać? - złościł się pan Kaliński. Że też jeden z drugim

nie potrafi utrzymać języka za zębami!

- Ośmieszyli nas... - powiedział trener „Zebr”. - A zwłaszcza mnie... No i co

teraz robimy?

- Gramy... Tylko jak? Może piątkami?

- Nie. To nie będzie siatkówka! Tak można na podwórku, ale nie tutaj, przy

inspektorze. Potem powie, że pokazujemy młodzieży, jak nie należy grać. Jeśli to

ma być pokazówka, to już ustawmy ich prawidłowo... Wie pan co, kolego?

Pożyczycie nam jednego zawodnika!

Chłopcy zdębieli.

- Co? Mam oddać „Zebrom” jednego z naszych? - spytał kapitan „Zielonych koszul”.

- Jeden z nas ma zagrać przeciwko własnej drużynie?

- No i co by się stało? Wielka rzecz. To dobry pomysł! - powiedział pan

Kaliński. - Szkoda, żeśmy na to wcześniej nie wpadli, zanim kierownik tu

przyszedł...

- Proszę pana, oni się nie zgodzą! - odezwał się kapitan „Zebr” do swojego

trenera. - Przecież dobrze wiedzą, że grają słabiej od nas. Woleliby zagrać

szóstką przeciwko piątce. To dla nich jedyna okazja, żeby z nami wygrać!

- No, tylko nie bądź taki kozak! - oburzył się kapitan „Ziłonich koszul”.
- Słabiej grają... To się okaże!
- Właśnie!
- Pasiaste bałwany!
- Osły, a nie zebry!
- Podwórkowe grajki!

Zrobił się szum. Właśnie wtedy wszedł do szatni drużynowy. Reprezentacja szkoły w siatkówce była właściwie zespołem harcerskim. Stąd lilijki na koszulach. Ale drużynowy nie wtrącał się do spraw sportowych. Przyznawał, że się na tym zupełnie nie zna.

- Dobrze, że przyszedłeś! - ucieszył się pan Kaliński. - Zupełnie sobie z nimi nie mogę poradzić...

- Widzę... - mruknął drużynowy.

- Niby harcerze, a taka banda! - powiedział trener „Zebr, ale zaraz zmitygował się i dodał: - Przepraszam, nie chciałem druha obrazić...

31

- Ale chciał pan obrazić moich chłopców...

„Zielone koszule” w jednej sekundzie uspokoiły się. Patrzyli teraz na drużynowego, jakby czekali tylko na hasło: „bić ich!” Albo: „idziemy do domu!” Ale drużynowy uśmiechnął się.

- Zagramy z nimi, prawda? To najlepszy sposób, żeby się odegrać za to, że nas obrażają!

Kapitan „Zielonych koszul” skrzywił się, popatrzył na swoich i kiwnął głową.

- Druhu, ale oni chcą, żebyśmy im pożyczyci na ten mecz jednego z chłopaków...

- Zrobimy tak?

- Chyba tylko pod warunkiem, że to się ogłosi na sali... To nie jest sport, ale niech im będzie!

- I tak wygramy!

- Tylko kogo im pożyczyci? Będziemy losować?

- Nie! - zdecydował nagle kapitan. - Nie będziemy losować, tego już by było za wiele. Możemy im oddać najslabszego zawodnika, rezerwowego... - i uśmiechnął się ironicznie. - No, „Zebry”, zgadzacie się?

- A co ja tu się mogę zgadzać albo nie? Trudno, niech będzie... - powiedział ponuro kapitan „Zebr”. I zwrócił się do swoich: - Ale teraz już mamy mecz z góry przegrany! Choćbyśmy na głowie stawali...

- Inaczej byłby walkower. Trudno! - zakończył dyskusję ich trener. - Załatwione, gramy!

- Kogo oddajemy? - spytał drużynowy.

- Powiedziałem, rezerwowego. Pawlickiego. On jest najslabszy. Pawlicki, pokaż im się z bliska!

Chłopcy rozstąpili się, żeby przepuścić Pawlickiego, a kapitan „Zielonych koszul” dodał złośliwie:

- No i kłapa, „Zebry”! Będziecie leżeć na obu łopatkach... Oto podpora waszej drużyny: Pawlicki! Poznajcie się...

„Zebry” jakby dopiero teraz zorientowały się w niebezpieczeństwie płynącym z całej tej umowy. Popatrzyli po sobie, a ich kapitan powiedział ostro do przeciwników:

- Słuchajcie! Tylko ja was proszę, bez kawałów! I tak macie przewagę, bo oddajecie nam jakiegoś patałacha, z którym jeszcze, do

32

tego wszystkiego, nie jesteśmy zgrani... Więc już bez dodatkowych „numerów”!

Niech gra, jak potrafi, ale uczciwie. A nie na waszą korzyść!

Kapitan „Zielonych koszul” roześmiał się:

- Zobaczymy w praniu, co z tego wyjdzie. Trudno, zgodziłeś się, klamka zapadła...

- Chłopcy! Dla mnie jest jasne, że mecz się będzie toczył bez żadnych kombinacji... Prawda? - wtrącił pan Kaliński.

- A ta umowa, żebym zagrał u nich, to nie kombinacja, co?

- bąknął Pawlicki.

- Ty, mały! Licz się ze słowami! - powiedział trener „Zebr”.

- Panowie! Kończymy tę dyskusję... łagodził drużynowy. - Bo wszyscy są podenerwowani i dojdzie do bijatyki. I tak już te targi za długo trwają. Powiedz im, Pawlicki, że zagrasz uczciwie, i zaczynajcie...

Pawlicki rozejrzał się po szatni, pomyślał chwilę.

- Właściwie to nikt się mnie nie spytał, czy ja chcę u nich zagrać... Nikt!

- Nie wygłupiaj ty się, dobrze? Olimpijczyk się znalazł! - zdenerwował się kapitan „Zielonych koszul”. - Co ja się będę ciebie pytał o zdanie! Masz zagrać i już! Widzisz, jaka jest sytuacja!

- Rzeczywiście, jesteśmy przyciśnięci do muru... - poparł go pan Kaliński. - Zdajesz sobie chyba z tego sprawę? Jak się nauczysz dobrze grać, to zaczniesz stawiać warunki... A teraz masz się słuchać. W końcu jesteś przecież uczniem!

- I harcerzem, jak słyszymy... - dorzucił trener „Zebr”.

No, no... Bez takich argumentów! On sam musi zdecydować!

- powiedział drużynowy. A do Pawlickiego: - Słuchaj, przecież tu idzie również o honor naszej drużyny...

- O co? - zdziwił się szczerze Pawlicki. - O honor?

- No? w jakimś sensie tak...

- W jakimś sensie... W jakim?

I nagle Pawlicki uśmiechnął się, jakby coś śmiesznego przyszło mu do głowy.

Zwrócił się do swojego kapitana:

- Jakbyś był na moim miejscu, to co byś zrobił?

- Nie wiem! Daj mi święty spokój, nie zadawaj głupich pytań! Grasz, czy nie?

3 Księżniczka i chłopcy

33

Do Pawlickiego podszedł teraz kapitan „Zebr”. Trzymał w ręce pasiastą koszulkę.

Powiedział cicho:

- Ja cię proszę... zagraj z nami. Jeśli możesz...

- Nie wiem, czy wam się przydam. U nas bardzo rzadko mnie wystawiają, nie jestem taki dobry...

- No, trudno... Zagrasz, jak ci się uda. Tam, na sali, powiem ci, jaką mamy taktykę. Tylko zagraj uczciwie... A nawet jakbyś był trochę słabszy, to nie będziemy mieli do ciebie żalu... - I zwrócił się do swoich: - Prawda chłopaki?

Cała drużyna „Zebr” przytaknęła. A kapitan „Zielonych koszul” parsknął śmiechem:

Jeśli słabo u nich zagrasz, to my też nie będziemy mieli do ciebie żalu! Możesz być pewien!

Pawlicki spojrzał na niego, ale nic nie powiedział. Powoli zaczął ściągać zieloną koszulkę z lilijką.

- Ja bym jednak wolał, żeby on dał nam słowo, że zagra uczciwie! - odezwał się któryś z „Zebr”.

Pawlicki przebrał się w pasiastą koszulkę, obciągnął ją i podszedł do drużynowego.

- Dać słowo, druhu?

- Jeśli chcesz... Ale po co?

- Chcę... Macie harcerskie słowo! Już dobrze, wystarczy?
- Ja ci wierzę i bez tego słowa... powiedział kapitan „Zebr”.
- Idiota... - mruknął kapitan „Zielonych koszul”.
- A więc wychodzimy na salę! Pierwsi wbiegają goście... No, już! Szybko, szybko... - komenderował pan Kaliński. - „Zebry”, wyskakujcie! „Zielone koszule”, ustawie się szeregiem!

Mecz się rozpoczął. Wszystkie trzy sety były bardzo zacięte. Wszystkie wygrały „Zebry”. Kibice mówili, że nawet w piątkę „Zebry” były dla „Zielonych koszul” równorzędnym partnerem. Kibice często się mylą, ale nie zawsze. Pawlicki jeszcze nigdy nie grał tak dobrze. Ale nie tylko o to chodziło. On jeden dobrze znał przeciwnika i mógł wykorzystać każdą jego słabą stronę.

Sala biła brawo, sala gwizdała. Kto tam obliczy, ile gwizdów, a ile braw zebrał Pawlicki. Rosło zdenerwowanie „Zielonych koszul” i rósł wynik punktowy. Już przy drugim secie zaczęli się kłócić między sobą na boisku. Ale po trzecim byli zupełnie zgodni. Zgodni, że winien jest Pawlicki.

34

Po meczu pan Kaliński powiedział do niego:

- Pograłeś sobie, co? Jak nigdy... A drużynowy zapytał:
- Nie żałujesz, że grałeś w tym meczu?
- Nie...

Kapitan „Zebr” powiedział na pożegnanie:

- Dziękuję, Pawlicki...
Niby za i :o?
- Za to, że dotrzymałeś słowa!
- Za to się chyba nie dziękuje...
No więc. . w ogóle, za wszystko, za dobry mecz. Zatrzymaj
sobie naszą koszulkę, na pamiątkę... Cześć!

- Cześć...

Szumiała woda pod prysznicami, były tylko dwa, więc musieli czekać w kolejce. Teraz już im się nie śpieszyło, mieli czas. W pustej szkole został tylko nocny woźny i oni, sześciu zawodników „Zielonych koszul”. Nawet nie zauważyli, kiedy Pawlicki wyszedł z szatni. Wśród koszulek porzuczonych na ławce została również ta w czerwone, pionowe pasy.

- Zdrajca już poszedł sobie... W ogóle nie wiem, po co on tu tak długo siedział?
- Może chciał coś powiedzieć? Albo myślał, że drużynowy tu jeszcze wróci?
- A po co niby miałby wracać? Żeby nas pochwalić za piękny mecz albo może uściskać Pawlickiego?
- Właśnie! - roześmiał się któryś. - Ale wiecie, że on jednak dobrze grał, co?
- Na tobie zarobił przynajmniej sześć punktów! Świetnie wiedział, że nie umiesz odbierać płaskiego serwu...
- A ty, że zawsze wyskakujesz do blokowania o sekundę za wcześniej! Nastaw sobie refleks na odpowiednią falę!
- Żeby cię nie nastawił, wiesz? Bałwanie!
- Słuchajcie... Ale powiedzcie, dlaczego on tak grał?
- Kto?
- Pawlicki. Dlaczego tak się wysilał, żeby tamci wygrali?

35

- Sam mu kazałeś grać u nich. Może chciał ci pokazać, że on też potrafi zagrać nie gorzej od ciebie?
- Albo sam siebie chciał o tym przekonać...
- Ja myślę, że on się na nas po prostu zemścił! Nie?

- Niby za co?
- A może zwyczajnie chciał dotrzymać słowa?
- No, to po co je dawał? Zawisza Czarny się znalazł... Kretyn! Nie będzie teraz miał lekkiego życia u nas w szkole.

Zgasili światło, wyszli z szatni. Na korytarzu panował półmrok. Każdy krok odbijał się echem, było jakoś nieprzyjemnie, obco, choć znali przecież tutaj wszystkie kąty.

Szli po schodach w milczeniu, nie mieli już o czym mówić. Każdy chyba myślał o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Kto tam zresztą wie, o czym oni myśleli? Pożegnali się przed szkołą i rozeszli w różne strony.

W najciemniejszym kącie szkolnego korytarza, koło biblioteki, siedział na ławce Pawlicki, Płakał?

36

ZAKOCHANY

Dylem zakochany w Dance, że aż strach. Imię to miała takie sobie, zwyczajne. Nie to, co Violetta albo Karina, czy choćby Mariola, ale zawsze imię. Najpierw to ona kochała się w aktorach filmowych. W panu Mikulskim nawet bardzo długo, bo jak zaczęła w sobotę po śniadaniu, to skończyła we wtorek około godziny szesnastej, kiedy zgubiła jego zdjęcie.

Kochała się Danka w panu Mikulskim podczas kolonii w Zakopanem, więc to była miłość wysokogórska. Ale ze szczytów, nawet jeśli to jest tylko szczyt Gubałówki, zawsze trzeba w końcu zejść na ziemię. Więc Danka zjechała z Gubałówki kolejką i szła właśnie na obiad. Po drodze wstąpiła jednak do fotoplastykonu i tam spotkała mnie. Od razu mi serce drgnęło. Ale ja nic, oglądam program. Bardzo był ciekawy: „Życie mrówek o świcie”.

Oglądamy, oglądamy, wreszcie ona mówi:

- Słuchaj... jak u ciebie widać, bo u mnie nic! Wyjaśniłem jej, że przecież nie może być nic widać, bo mrówki są małe, a świt to nie południe i powinna to zrozumieć.

- Aha! - odpowiedziała i popatrzyła na mnie tak jakoś, że mi serce drugi raz drgnęło. Ale ja ciągle jakby nigdy nic.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę, pooglądaliśmy ten program i wyszliśmy. A na ulicy już wiedziałem: stało się! Trach i już! Zakochałem się tam, w fotoplastykonie, przy ulicy Krupówki, jak się idzie od poczty po prawej stronie, co łatwo sprawdzić. Nagle ta miłość na mnie spadła. I od tej chwili byłem skazany na męczące porywy

39

wielkiego uczucia, które targało mną jak halny smrekami. I na tego łobuza Jasia Malinę!

Słodko się drań nazywał: Malina. Ale powinien się nazywać Jasio Belzebub albo Pokrzywa, a przynajmniej Musztarda. Ile on mi zdrowia natruł! Bo Malina też się zakochał w Dance, na złość mnie. I tak od szóstej klasy zaczęliśmy się ścigać w tej naszej miłości: kto kogo prześcignie.

Jak ja odrobiłem za Dankę matematykę, to Malina dał jej ściągnąć na klasówce z polskiego. Z błędami, bo sam nie umiał pisać, ale ściągnąć dał! Jak Malina

przyniósł z piwnicy za Dankę całą furę drzewa, plus wiaderko, to ja sobie za nią pozwoliłem wlepić dwóję ze sprawowania. Ona wlała atrament do szkolnego akwarium, żeby ufarbować złote rybki na czarno, bo to modniejszy kolor, a ja się z radością do tego występku przyznałem, choć mnie to potem drogo kosztowało. Musiałem pół dnia myć ryby, a i tak zdechły.

Aż wstyd powiedzieć. Wszystko jak w starych, przedwojennych książkach. A przecież obydwaj z Maliną byliśmy zupełnie nowocześni. On chodził do fryzjera raz na pół roku, a ja tylko dlatego trochę częściej, że miałem trudniejszą sytuację w domu. On grał konspiracyjnie w sobotę w toto-lotka, a ja zupełnie jawnie w niedzielę na gitarze. Co prawda graliśmy obydwaj z tym samym mizernym skutkiem, ale nie o to przecież chodzi.

Chodzi o uczucie. Kiedyś na przykład mieliśmy razem iść na narty. To już było w siódmej klasie. Wstałem o świcie, żeby dla Danki śnieg trochę uklepać na stoku... Trzy godziny klepałem, a potem poszliśmy tam we troje. Danka spojrzała na mnie łaskawie i mówi, że owszem, stok uklepany nienajgorzej. Odciągnąłem więc Malinę na bok i powiadam:

- No widzisz, trąbo, jestem górą! Ciebie nie było stać na taki wyczyn, jak klepanie śniegu od świtu. Znikaj nam z oczu!

Malina zzieleniał ze złości i zaczął grozić:

- Ty jesteś górą na górze, ale ja będę górą na dole! Zobaczysz! Na razie jednak zobaczyłem tylko tyle, że odepchnął się kijkami i pojechał pierwszy. Chciał się przed nią popisać, jak to on jeździ. Ale na szczęście w połowie stoku jak go skręciło w bok, jak go rąbnęło o śnieg - z dziesięć metrów przekoziółkował, narty połamał, zakopał się w zaspie.

40

Odetchnąłem z ulgą i mówię do Danki:

- Teraz to już chyba wszystko jasne, przecież nie będziesz się kochała w takim bałwanie, co nawet porządnie zjechać nie umie!

I byłem górą! Ale na krótko. Bo kiedy na dole odkopywaliśmy Malinę z zasy, Dance przyszła do głowy groźna myśl:

- Słuchaj, a może on się chciał dla mnie zabić z wielkiej miłości?

- Ha, ha! - zaśmiałem się szyderczo. - Nawet z największej miłości nie można się zabić na takiej małej górze. Śmieszne! Jak chcesz, to mogę się dla ciebie zabić z Kasprowego! Tylko, że w przyszłym roku, bo teraz nie mam pieniędzy na bilet...

Na szczęście nie chciała, ale uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością, że taki jestem chętny.

Odkopaliśmy wreszcie Malinę. Wstał, wypluł śnieg i powiada:

- Specjalnie tak wycelowałem! Ho, ho! Już ja mam cel! On to tylko nartami klepał stok, a ja dla ciebie własnym ciałem zaspę ubiłem. I to jaką zaspę! Trzy metry na cztery, albo nawet na cztery i pół!

Potem Malina dwa tygodnie leżał przeziębiony, brał zastrzyki i znowu był górą, choć mieszkał na parterze. Bo Danka powiedziała:

- Widzisz, jaki on jest? A ciebie to nawet na zwykły katar nie stać. I mówisz, że jesteś zakochany? E tam...

Nieszczęśliwa była ta moja miłość na gruncie sportowym, nieszczęśliwa była w klasie, postanowiłem więc przerzucić walkę na płaszczyznę harcerską. Nie wiem tylko, dlaczego to się nazywa „płaszczyzna”, ale tak piszą w gazetach, trudno, niech będzie. Miałem nadzieję, że Jasio Malina na obcym terenie poczuje się bezradny. A ja, jak się nie będę za bardzo przykładał, to może nawet awansuję na kronikarza drużyny albo nie wiem na kogo. I wtedy nokaut psychologiczny Maliny, olśnienie i zachwyt Danki! I wreszcie sam zostanę na placu boju, bo Malina w

takiej sytuacji, jeśli ma oferta choć trochę poczucia męskiego honoru, powinien się zapaść pod ziemię.

Tak się zaczął trzeci rok mojej miłości, już teraz umundurowanej, jak należy. Malina rzeczywiście zapadł się nieco w siebie, przygarbił, zaczął się nawet lepiej uczyć z rozpaczy, sądziłem więc, że jest na najlepszej drodze, aby pójść do klasztoru albo gdzie bądź. Niestety! Łobuz się niewiarygodnie prędko otrząsnął, w ładnym stylu osiągnął

41

normalny dla siebie stan trzech dwójek na okres, a z fizyki błysnął stopniem, jakiego nie znała w ogóle historia naszej szkoły: dostał dwie czerwone krechy i wykrzyknik w kółku! Po czym wypłynął na szersze wody... w tej samej drużynie harcerskiej co ja.

Walka się zaostrzyła, gejzer uczuć nie wygasał, przeznaczenie niezmordowanie pchało nas w kierunku dnia wielkich rozstrzygnięć. Jak się okazało, była to środa. Dla niepoznaki padał deszcz, wróble słabo ćwierkały, a w sklepie koło mojego domu - jak zwykle - nie mieli rano świeżego chleba, a półki zavalone były cykorią ze znakiem jakości „Q” i eksportowymi herbatnikami. Nic nie wróżyło nieszczęścia.

Tuż po lekcjach wezwał mnie na rozmowę nasz komendant szczepu. Poprosił, żebym usiadł, więc usiadłem. Jak na wulkanie. A szczepowy podrapał się w brodę i zupełnie nieoczekiwanie wpadł w nastrój, który można by nazwać ciężką zadumą. Wpatrywał się w ścianę z takim skupieniem, jakby właśnie po tej ścianie spacerowały jego najlepsze, ukochane pomysły.

Znałem już trochę szczepowego i wiedziałem, że jest to stan ducha groźny dla otoczenia, w tym wypadku dla mnie. Samo bowiem drapanie się w brodę nie było jeszcze najgorsze. Już dawno wytłumaczyliśmy to sobie w sposób naukowy: drapie się pewnie dlatego, że mu broda rośnie, bo młody. A jak coś rośnie - a jeszcze z trudem - to ma prawo swędzić. Od czasu do czasu, oczywiście. Ale drapanie się w brodę połączone z wnikliwym oglądaniem przeciwległej ściany mogło znaczyć, że za chwilę szczepowy wymyśli coś niebywałego.

Owszem, wymyślił... Ciarki mnie przeszły już w momencie, kiedy zaczął mówić: „długo się wahałem...” Kiedy powiedział: „zasługujesz przecież na zaufanie...”, poczułem się, jakby mnie ktoś wrzucił do przerębli. A po słowach: „koledzy chcą cię w ten sposób wyróżnić...”, wiedziałem już, że nic nie jest w stanie mnie uratować. I czułem w tym palec Maliny.

- Proponuję, żebyś od dziś został przybocznym w naszej drużynie zuchowej! - wyrzucił wreszcie z siebie gromko nasz szczepowy i spojrzał na mnie z nagłą troską, jakby się spodziewał, że w tej samej sekundzie oszaleję ze szczęścia. Cios był poważniejszy, niż przypuszczałem, ale nie złamał mnie.

42

Ma się ten charakter i można jeszcze to i owo przetrzymać. Z taką praktyką jak ja! Wypiąłem więc dzielnie pierś i wygłosiłem huraganowe kontrprzemówienie:

- Za co to wszystko? - spytałem. - Co ja druhowi złego zrobiłem? Przecież ja druha szanuję, choć Malina mówi, że druh jest poniżej krytyki...

- Dlaczego poniżej? - zdziwił się. - Przecież ja lubię, kiedy mnie krytykują, bo wtedy człowiek czuje się potrzebny. A Malina, owszem, porządny chłopak, chętny! To on zaproponował, żebyś został przybocznym. Dla dobra szczepu i na swoją chwałę!

Zatkało mnie. Ale opanowałem się, postanowiłem w tej sytuacji gwałtownie zmienić taktykę i zastosować metodę szczerych zwierzeń nie na temat.

- Rzeczywiście, przyznaję, że na ostatnich podchodach zdrzemnąłem się w krzakach, ale było diabelnie gorąco, sam druh pamięta, nie? - odwołałem się do

jego ludzkich uczuć. - Przyznaję również, że trzy sprawności naszyłem sobie na rękaw pół roku przed ich zdobyciem. Ale czy to ja jeden? Malina naszył sobie dziewięć i do dziś ich nie zdobył. Zgadzam się też z zarzutem, że przesoliłem grochówkę na obozie w dniu imienin druha hufcowego. Nie zrobiłem tego jednak ze złośliwości, bo skąd niby mogłem wiedzieć, że hufcowy obchodzi imieniny? Po prostu podczas solenia zagapiłem się na turbośmigłowca, bo mnie technika interesuje, a nie małe dzieci. O, właśnie to chciałem zauważyć...

W ten sposób zgrabnie, jak mi się zdawało, wygłosiłem szczerą samokrytykę i nawiązałem do głównego tematu rozmowy. Ale szczepowy popatrzył na mnie wyrozumiale i machnął lekceważąco ręką.

- Nasz hufcowy i tak nie powinien jeść grochówki, bo jest chory na wątrobę. Gdybyś druhowi naczelnikowi zupę przesolił, to może byłby problem. A tak to nie ma w ogóle o czym mówić, nie przejmuj się! Za godzinę zbiórka twoich zuchów. Poprowadź ją na próbę. A potem jeszcze zobaczymy. Powodzenia!

Dopiero kiedy zostałem sam na sam ze swoim nieszczęściem, zupełnie upadłem na duchu. Nigdy nie byłem w zuchach i moja zrozpaczona wyobraźnia podpowiadała mi rozmaite makabryczne sytuacje. Trzeba toto będzie za rączki prowadzić, nosy wycierać, w kółko graniaste się bawić. Ani przy nich zażartować, ani jakąś

43

wesołą drakę urządzić... I nic już na to nie można poradzić. Potworne! A Malina pewnie ryczy ze szczęścia. Drań i tyle!

Widocznie przyszedłem do tych całych zuchów z mocno pobladłą twarzą, bo jeden taki w okularach przyjrzał mi się uważnie i pyta:

- Przepraszam, czy to jakaś choroba, czy druh już ma taką urodę?

- Jaką urodę, dziecino?

- No, taką... nieszczególną...

Zuchy ryknęły śmiechem, a ja pomyślałem: „czekaj, łobuzie, ja cię zapamiętam!”

Ale po chwili miałem już dwóch do zapamiętania, bo drugi odpowiedział temu pierwszemu:

- Eee tam, ja myślę, że nasz druh to już taki przystojny od urodzenia!

- Cisza! - wrzasnąłem. - Powiedzcie mi, kto tu wśród was najmądrzejszy, bo chcę o coś zapytać...

Na to jeden chudy, z odstającymi uszami, powiada:

- Do tej pory najmądrzejszy z nas był Filozof, ale teraz to nie wiadomo...

- Dlaczego teraz nie wiadomo? - zdziwiłem się.

- Bo druha jeszcze mało znamy! - odpowiedział słodko taki aniołek z kręconymi włosami. - Może się okazać, że druh jest od Filozofa lepszy...

W ten sposób miałem już czterech do zapamiętania. Plus Filozof, to pięciu. Bo Filozof na moje pytanie, dlaczego oni nazywają się Bolkowe Woje, o którego to króla Bolesława chodzi, wyjaśnił uprzejmie:

- Wszystko jedno, druha, proszę się tym nie przejmować. To zależy od tego, na co kogo stać. Ja na przykład jestem woj Chrobrego, a Zyzio Mączka - Bolka Śmiałego. I też dobrze. A znów Olo Pietrusiński jest woj Bolesława Kędzierzawego, a Bolo Krówka sam sobie jest wojem! Druh może być w charakterze woja Krzywoustego. Tysiąclecie przecież jest, więc dla każdego królów starczy...

„Małpa złośliwa, ale obkuty w historii. Nie to, co ten głupek Malina” -

pomyślałem z uznaniem i przestałem ich zapamiętywać, bo przyszło mi do głowy, że kto wie, czy w ogóle będę kiedyś miał okazję się odegrać.

44

- Dobrze, mogę być woj Krzywoustego, tylko żebyście tego nie żalowali! -

powiedziałem groźnie. - Bo jak wam sprawię rozbięcie dzielnicowe, to nawet potem sam Łokietek nie pomoże. Jasne?

- Jasne! - wrzasnęły chórem dzielne woje. Najwyraźniej im zaimponowałem moją zgrabną aluzją historyczną. Szkoda, że Malina tego nie mógł usłyszeć. Wiedziałem, że w ogródku szkolnym odbywa się równocześnie zbiórka drugiej części drużyny, dziewczynek. „Tam jest drużynowa, więc warto się dowiedzieć, co ona z zuchami robi!” - bardzo dumny byłem z tego chytrego pomysłu, tylko nie miałem pojęcia, jak go zrealizować. Zająłem więc chłopców jakąś grą, potem drugą, ale ta już im szła niemrawo. Wreszcie przerwali ją, poszeptali coś między sobą i podbiegł do mnie... brat Danki. Dopiero teraz zauważyłem, że i on jest wśród moich zuchów. Od razu zaostrzyłem czujność.

Nie jego zasługa, że go znałem z widzenia, choć co prawda pół szkoły go znało. Bo jak na takiego woja, co chodzi dopiero do czwartej klasy, to był z niego dość głośny chuligan. Wsławił się tym, że strzaskał kapciem szkło w portrecie Curie-Skłodowskiej, patronki szkoły i kierownik na apelu palcem go pokazywał. Ale właściwie znałem chłopaka tylko dlatego, że był bratem Danki. Gdyby Danką miała na przykład kozę albo salamandrę, to też bym ją na pewno znał z widzenia.

- Czego chcesz? - spytałem.

- Drużynowa to czasem posyłała zwiad do kiosku... - mruknął. - Ale jak druh nie chce, no to nie!

„Jeżeli drużynowa posyłała, to pewnie ma to jakiś sens! - pomyślałem. - Można spróbować, co mi szkodzi...”

- No to leć na ten zwiad! - zdecydowałem.

- Dwa... - powiedział spokojnie.

- Dwa zwiady?

- Nie. Dwa złote... Najmniej tyle potrzeba na zwiad, bo inaczej będzie nierówno. A przy dwóch złotych to akurat wypada po cztery małe dropsy na głowę!

Wściekły byłem. Ładna historia! Drużynowa ich rozpieściła dropsami, a ja do tego będę dopłacał! Ale przyszło mi do głowy, że ostatecznie to jest przecież brat mojej ukochanej, więc nie będę się przy nim kompromitował. Pomyśli: „nawet głupich dwóch złotych

45

nie ma albo chytry”. A nuż Dance powtórzy? Z takim, co rzucił kapciem w Curie-Skłodowską, to nic nie wiadomo...

- Masz dwa złote i szoruj na ten... zwiad. Właśnie: zwiad! - roześmiałem się znacząco, że niby rozumiem, gdzie tu żart.

- Pewnie, że zwiad! - zgasił mnie ozięble. - Przecież najpierw trzeba się zorientować, czy w ogóle są dropsy miętowe, nie? Bo innych dropsów Bolkowe Woje nie jadają! - dodał dumnie. - I powinien druh o tym wiedzieć zamiast chichotać bez powodu...

- Ej, woju! - krzyknąłem za nim. - Przy okazji zajrzyj dyskretnie do dziewcząt i zobacz, co robią na zbiórce i o czym mówią! Tylko, żeby cię nikt nie widział.

Jak zwiad, to zwiad!

Wrócił po paru minutach, podzielił sprawiedliwie dropsy i mówi:

- Wie druh, coś tam z dziewczynami nie jest dobrze... Może my jednak nie róbmy tego, co one?

- Bolkowe Woje nie powinny robić tego samego, co Stokrotki Polne! - poparli go niektórzy chłopcy. - Nigdy tak nie było!

- Właśnie! - powiedział z głębokim przekonaniem braciszek Danki. - Bo wiecie co one postanowiły? Że w tym tygodniu położą akcent na babcię!

„Jak dobrze pójdzie, to będę miał stukniętego szwagra!” - przemknęło mi przez głowę, ale nie zdążyłem nad tym pomyśleć, bo zuchy wpadły w panikę.

- Co położą na babcię? - wystraszył się kędzierzawy aniołek.

- Na czyją babcię? - koniecznie chciał wiedzieć ten w okularach.

- A jak ktoś nie ma babci, to co? - zmartwił się chudy i aż mu nieco przykły odstające uszy.

O babcie wcale nie jest tak trudno, jak się wydaje! Pełno ich wszędzie... a najwięcej w tramwajach i autobusach. Trzeba tylko pomyśleć o tym akcencie! - podsumował optymistycznie Filozof.

Postanowiłem go sobie zapamiętać, bo to jednak mądry chłopak i można się na nim oprzeć w trudnej sytuacji. A do zuchów powiedziałem stanowczo:

- Choćbyście mieli stanąć na głowie, musicie koniecznie położyć akcent na babcię. Swoją, cudzą, jak leci! A teraz każdy zuch zaczyna myśleć. Koniec zbiórki! - i poszedłem do domu.

Za rogiem humor mi się znacznie poprawił. Właściwie świetnie mi poszło.

Zbiórka udana, zuchy otrzymały zadanie... A może

46

w ogóle przy zuchach łatwiej jest awansować? Przecież bardzo szybko mogę zostać drużynowym! Potem będę chodził na różne odprawy i narady, będę na nich cicho siedział, robił mądre miny i grał w szewca albo w okręty... W ten sposób i do jakiejś komendy mogę trafić. A Malina pięknie z zazdrości, bo on nie ma żadnych szans. Zawsze słabo grał w szewca...

Koło mostu dobry humor odpłynął, a załała mnie fala szczęścia. Wyglupił się tępy Malina, nie przewidział, że wśród podkomendnych będę miał rodzonego brata Danki!

A przecież to wiąże, zbliża i tak dalej... Nie ma co, wygrałem. Jestem górą!

„Po deszczu jest słońce...” - jak mówi piosenka. Święte słowa! Trzeba wierzyć piosence. Chętnie bym ją wtedy, tę piosenkę śpiewał z radości na cały głos, choćbym nawet miał fałszować jak Malina. Ale niestety, melodii nie mogłem sobie przypomnieć.

Wieczorem mój ojciec, który postanowił tego dnia mieć grype, jęknął z tapczanu:

- Synu! Ktoś cię wygwizduje pod oknem... Zdenerwowało mnie powiedzenie: „ktoś cię wygwizduje”, ale cóż

mogłem zrobić? W języku ojca to znaczyło: „ktoś gwizdze pod oknem, dając znak, że proponuje ci, abys wyszedł z domu”. Tak mi wyjaśnił.

Któż to mógł jeszcze dzisiaj do mnie przyjść? I po co? Na podwórku czekał brat Danki, z książką w ręce.

- Czego znowu chcesz? - spytałem ostro, bo patrzył na mnie z jakimś głupim uśmiechem i nic nie mówił. Ale wreszcie przemówił:

- Czy ty na pewno jesteś ten?

- Jaki „ty”? - ryknąłem. - Nie rzucałem razem z tobą kapciem w patronkę szkoły! Mów mi „druhu”!

- Jak druh sobie życzy... - murknął. - Ale jeśli będę do druha mówił „druhu”, to będzie znaczyło, że jestem tu służbowo. I nie będę mógł wtedy załatwić prywatnych spraw mojej siostry... No, więc?

Momentalnie opanowałem się, rzecz jasna, obracając wszystko w żart:

- Ha, ha! Woj wojowi oka nie wykolę! Rozumiemy się stary, co? Robi rumor, kto ma humor! Mówmy sobie „ty”!

47

Spojrzał smarkacz trochę podejrzliwie, pociągnął nosem, jakby chciał sprawdzić, czy nie piłem przypadkiem piwa, i powiedział łaskawie:

- Ostatecznie, niech będzie... Tylko nie za często! Po chwili znowu jednak zmarkotniał.

- Ale nie wiem, co zrobić... Na pewno jesteś ten?

- Niby który ten?

- Ten, któremu ona kazała dać książkę...

Nie miałem żadnych wątpliwości, że chodzi o mnie, bo niby komu mogła Danka

posyłać książkę, jak nie mnie? Zwłaszcza teraz, kiedy zostałem przełożonym jej rodzonego brata! Oczy mi błysnęły ze szczęścia, ale dla niepoznaki spytałem:

- A jak mówiła? Że komu masz dać?

- Powiedziała: „idź do tego bałwana, który za mną lata, i powiedz, że posyłam mu książkę, żeby się nie nudził!” - wycedził spokojnie niesamowity braciszek. Zmartwiałem. Ale bez namysłu odpałem:

- No i widzisz, drogi woju, wyjaśniło się. Książka jest dla Jasia Maliny! Znasz go? Mieszka koło cementarza...

- Szkoda! - westchnął, chyba szczerze.

- Dlaczego szkoda? W sam raz miejsce dla takiego Maliny. Powinien zresztą w piekle mieszkać!

- Mówię, że szkoda, b'o polubiłem druha! - wyjaśnił ciepło, przechodząc na język służbowy. - Zresztą, moim zdaniem, druh lepiej pasuje! Strona dwieście dwa, piąty wiersz od góry, może się druh namyśli, ja poczekam... - i podał mi książkę. W pierwszej chwili aż musiałem udać, że od much się tą książką oganiam, bo tak mi ręce drżały. A kiedy zjrzałem na stronę dwieście dwa, zawirowało mi przed oczami i decyzja już była podjęta: „biorę to na siebie, nie wypuszczę z ręki takiej szansy!” Bo Danka podkreśliła w książce ołówkiem jedno zdanie, które brzmiało jak śpiew słowika w jaśminach: Cóż, mój skarbie? Może dziś pójdziesz ze mną do kina?

Co prawda, w książce mówił to jakiś opasły marynarz do swojej ulubionej papugi? * jak się zdążyłem zorientować - ale ważne było to, co podkreślone ołówkiem, a nie kto mówi i do kogo.

- Zdecydował się druh, czy mam iść do tego Maliny?

48

- Możesz wracać do domu! - odpowiedziałem łaskawie. - Już ja to załatwię. A w ogóle udzielam ci pochwały, dzielny woju...

- Dziękuję! - uśmiechnął się skromnie. - Bardzo druh miły... Proponuję jednak szybko iść po bilety, bo zabraknie. Druh kupi dwa bilety, a ja potem jeden jej zaniosę!

- Sam mogę zanieść, nie? - poczułem się nieco urażony. - Pójdę do was do domu i zaniosę...

- Nie radzę... - mruknął. - Bo widzi druh, nasza mama dzisiaj trochę nie w humorze. Zła na Dankę, że nie chciała podłogi umyć... Może być jakaś dyskusja. I po co to druhowi? - spojrzał z ciepłą troską w oku i to mnie całkowicie przekonało. Z mamą lepiej nie zaczynać.

Poszliśmy zgodnie do kina, kupiłem dwa bilety, jeden ja schowałem, a drugi - braciszek mojej ukochanej.

- Hej, woju! - krzyknąłem za nim - Tylko, żeby się nie spóźniła! Będę czekał na sali!

- Spokojna głowa! - odpowiedział i pobiegł. Książkę zabrał z powrotem.

Przez całą godzinę, jaka mi została do rozpoczęcia seansu, rozpierało mnie uczucie szczęścia i duma ze zwycięstwa. Było ono absolutne: łobuz Malina wyeliminowany z walki, brat ukochanej - moim sprzymierzeńcem, Danką po raz pierwszy ze mną w kinie sam na sam! Jasia Malinę, jak się o tym dowie, niewątpliwie odwiezie do szpitala. Może nawet w kaftanie bezpieczeństwa? Bo jeśli jest prawdziwym mężczyzną, to powinien wpaść w dziką furję.

Siedziałem już na sali, rozległ się dzwonek, a miejsce koło mnie wciąż było puste. Zacząłem się niepokoić o Dankę: może matka jej nie puściła? A może wszedł jej w drogę Malina i zawrócił dziewczynę na manowce? „No, Jasiu Malino... - myślę sobie - marny twój owocowy los! Już ja ci pokażę: zrobię z ciebie dżem!” Oglądałem się nerwowo, czy Danką nie idzie. I nagle, co ja widzę: w kinie siedzi

Jasio Malina! Umyty, uczesany, w krawacie i wpycha czekoladę. A obok niego puste miejsce. Tak samo jak koło mnie. Zawirowały mi w oczach wszystkie maliny świata, razem z kolcami i korzeniami... Ale zanim zdążyłem z wrażenia zemdleć, światło w kinie zgasło. Nie będę przecież mdlał po ciemku, bo nie widać, czy podłoga czysta, więc się opanowałem.

Księżniczka i chłopcy

49

Zaczęła się kronika filmowa, mojej ukochanej wciąż nie było. Serce miałem w gardle z rozpaczy, ale cóż - patrzyłem na kronikę. I nagle bileterka, świecąc latarką, przyprowadziła kogoś do mojego rzędu. „No nareszcie! Przyszła” - odetchnąłem z ulgą. Ale kiedy na pustym miejscu obok mnie usiadła jakaś potężna staruszka wagi ciężkiej, odsapnęła wesoło i rozpierając się w fotelu wbiła mi lewy łokieć pomiędzy obojczyk a drugi kręg szyjny, zaniepokoiłem się nieco i zacząłem głośno protestować:

- To miejsce jest zajęte! Pani się pomyliła! Proszę sprawdzić bilet!

- Cisza! Nie przeszkadzać! - zaczęto wołać na sali, więc dałem spokój.

„Przyjdzie Danka, pokaże swój bilet, to się wszystko wyjaśni...” pomyślałem i postanowiłem na razie cierpliwie znosić nawet ten lewy łokieć.

Tymczasem w szybkim tempie rozwijała się sensacyjna akcja filmu. Staruszka obok mnie bawiła się doskonale. Danka wciąż nie przychodziła, ale za to mnie przyszła nagle do głowy pewna myśl. Odsuwałem ją, jak mogłem, była to bowiem myśl straszliwa. Gorsza niż trzęsienie ziemi podczas zaćmienia Słońca, siedem plag egipskich i płatki owsiane. Spojrzałem na swoją sąsiadkę raz, drugi i osiemnasty... Jak ja wytrzymałem do końca filmu?

Wypadłem z kina pierwszy, zanim się światło zapaliło, żeby przynajmniej Malina nie widział mojej klęski. A przed kinem spokojnie przechadza się... niedoszły szwagier.

- Cześć! - powiada. - No i jak było?

Uciszyłem wycie zranionego serca i mówię z godnością:

- A owszem, nienajgorzej! Co słyszeć?

- Nic... czekam na babcię. Bo wie druż, mamy z babcią kłopoty... - zaczął się zwierzać. - Wieczorami musi ją ktoś zawsze odprowadzić, nie można puścić staruszki samej...

- Słusznie! - powiadam. - Wieczorem niebezpiecznie...

- No, właśnie! - westchnął. - Stale trzeba babcię pilnować, bo zaczepia chuliganów i tłucze ich laską. Już były skargi...

„Miła rodzinka, a jakże! - pomyślałem. - Do takiej trafić, ho, ho! Nie zginie człowiek!”

Ludzie zaczynają wychodzić z kina, a ja wychodzę ze skóry, żeby nie dać poznać po sobie, że aż mnie skręca od środka.

50

- Słuchaj, dzielny zuchu, woju Bolkowy - mówię niby spokojnie i bardzo słodko do braciszka ukochanej - powiedz ty mi, kto to wszystko tak zgrabnie wymyślił z tym dzisiejszym pójściem do kina?

- Jak to kto? Druż! - odpowiada szwagier i patrzy na mnie z szacunkiem. - Miał druż dobrą myśl, żeby położyć akcent na babcię. Jak jej powiedziałem, że pójdzie wieczorem do kina, staruszka bardzo się ucieszyła... A i u mnie w domu dobrze o drużu mówili!

- Babcia babcią... - jęknąłem. - Niech żyje sto lat. Ale co robił w kinie ten łobuz Jasio Malina?

- No przecież musiał ktoś babci bilet zafundować, nie? - tłumaczył szwagier. - Zastosowałem wobec niego ten sam chwyt z książką. Dobrze, co? To druż mi

podpowiedział, gdzie ten Malina mieszka... Druh to ma jednak głowę!
Zgrzytnąłem zębami. W chwilę potem podeszli do nas: babcia i Danka z Jasiem Maliną. Wszyscy zadowoleni! Odciągnąłem Dankę na bok i pytam:
- Coś ty zrobiła, nieszczęsna! Byłaś w kinie z Maliną, a z kim miałaś być? No, z kim?

A ona spokojnie:

- Ojej, wielka rzecz... Pomyliłam bilety! Babci dałam ten od ciebie, a sama wzięłam drugi, ten co kupił Malina. No i co się stało? Pomylić się nie można? Po środzie, fatalnym dniu wielkich rozstrzygnięć, przyszedł zwyczajny czwartek. Już rano czułem, że coś dziwnego dzieje się ze mną. Ale nie widziałem, co to może być. Podeszedłem więc do Danki i mówię:

- Uszczypnij mnie!

- Coś ty, w szkole? Czy to konieczne? - ale uszczypnęła.

- Uszczypnij drugi raz! - poprosiłem. Zrobiła to znacznie mocniej, aż sobie jęknąłem:

- O rany!

Zebrało się koło nas paru gapiów, a wśród nich ta ofiara losu, Malina, który głupawo się uśmiechał, jakby miał z czego.

Tam-ta-ram-tam-tam... - zanuciłem wesoło. Pam- pa-ram-pam...

51

- On oszalał! - ucieszył się Malina. - No nareszcie...

- Guzik prawda! - sprostowałem uprzejmie. I znowu: - Ram-tam-tam-ram-pa-pam...

- Co ci jest? - spytała Danka prawie ze łzami. - Już wczoraj wieczorem byłeś jakiś taki... Co z tobą?

- Nic. Odkochałem się, zwyczajnie. Trach i już! Wiem to na pewno, bo sprawdziłem eksperymentalnie. Gdybym był jeszcze zakochany, nie czułbym bólu, kiedy mnie szczypie ukochana. Jasne? Tam-ta-ram-tam... Chcesz zrobić próbę? Kopnij Malinę! Albo też go uszczypnij. Przekonamy się, co będzie...

Malina otworzył usta i tak zastygł. Zaniemówił, zbaraniał doszczętnie, zatkało go. Z trudem łapał powietrze, wkładając w tę prostą w końcu czynność całą swoją mizerną inteligencję. Danka uszczypnęła go, potem zrobił to jeszcze raz któryś z kolegów, a Malina nic, słup soli, Kolumna Zygmunta, marmur kararyjski.

Przez tydzień mnie potem błagał:

- Nie rób mi tego! Z kim ja się teraz będę ścigał? Nie odkochuj się, poczekaj, aż i mnie przejdzie... bądź kolegą!

- Nie, bracie! powiedziałem. - Trudno, nie jestem już zakochany. Męcz się sam, trąbo! Mnie już wystarczy...

Byłem górą.

?

52

ŚNIEG

adał śnieg. Na polu, podczas zamieci, śnieg rozciąga przestrzenie, oddala wszystko i człowiek, zagubiony, siebie samego ledwie widzi i tylko siebie. W lesie śnieg groźny jest przez złudzenie ciszy, które daje. Tłumi lęk, ale i krzyk samotnego.

W małym mieście śnieg jest dobrą wróżką. Koślawe płoty ożywają, drzewa - bezlistne straszdyła - łagodnieją i chylą się w zadumie ciężkiej od bieli, która spływa na tynki poodbijane, szczerbate mury, dachy raz płaskie, raz spadziste, poprzetykane antenami telewizorów, i na ludzi znajomych, co w taki ośnieżony spokojem wieczór są już tylko sylwetkami, śmiesznymi cieniami na ulicach.

Padał więc śnieg i zbliżał się wieczór, jeden z ostatnich przed świętami, które w takim małym mieście wciąż pozostają sobą, sprawiając, że tylko tu cały świat zbliża się na odległość dłoni, a czas nie odróżnia lat od chwili i wszystko może się wydarzyć. Jak w bajce. Albo jak w życiu.

Dziewczyna wpadła prosto ze śniegu, ściągnęła beret, otrzepała go i mokrą ręką poprawiła włosy. Uśmiechnęła się do urzędniczki siedzącej nie w okienku, jak to bywa w innych urzędach pocztowych, a za barierką, rozdzielającą niewielką salę na dwie nierówne części.

- Chciałem zamówić pilną rozmowę z Gdynią... Zdążę jeszcze? Gdynia, Kapitan Portu...

- O! A cóż ty, odpływasz „Batorym”?

- Niestety, proszę pani... - powiedziała dziewczyna. - To nie dla

55

«

mnie. Wujek do nas przyjechał na święta, ojca brat. To on musi dzwonić do Gdyni... Zaraz tu przyjdzie. Długo będziemy czekać na połączenie?

Urzędniczka była młoda, znudzona pustym wieczorem, bo w takim małym mieście prawie nic się na poczcie nie dzieje. Kto miał wysłać świąteczną paczkę, to już ją dawno wysłał, a listów poleconych i depesz stąd się nie nadaje, chyba że od złej okazji. Więc ożywiła się, zapachniało jej światem, dalekimi brzegami i statkami, które przebijają się przez zimowe sztorm.

- O tej porze powinno już być łatwiej... - i wykręciła numer. A potem do słuchawki: - Wieśka? Co ty, jeszcze nie zeszedł z dyżuru? Aha, masz zastępstwo... To cię urządzili. Słuchaj! Daj mi Gdynię!

I widać było, że cieszy się zdziwieniem swojej koleżanki. Przyjemnie zamówić stąd Gdynię, choć to nie Montevideo ani Neapol. Kiedy na małych pocztach telefonistki zamawiają odległe miasta, jest to wydarzenie, które bardzo się liczy we wspomnieniach. Gdynia też nie jest najgorsza, zwłaszcza jeśli wieczór był pusty. Powtórzyła więc bardzo wyraźnie, już w swoim własnym imieniu:

- Tak, Gdynię. Pilną. Kapitanat Portu... chwileczkę! - i spytała dziewczynę: - Z kim będzie ta rozmowa?

- Kapitan Wojciechowski...

- Więc Kapitan Portu, kapitan Wojciechowski. „W” jak Wiesław... No, Wiesiu, nie żartuj! Skąd ja mogę wiedzieć, czy on przystojny...

- Owszem! - usłyszała od drzwi. - Niech pan powie, że bardzo przystojny, to może szybciej połączy...

Roześmiała się do słuchawki:

- Tu mi podpowiadają żebyś szybko połączyła bo bardzo przystojny! Ej, Wieśka! I ty mówisz, że zmęczona jesteś, a żartować to ci się chce, co? No, dobra... Długą masz kolejkę? Trzy osoby... Postaraj się przyspieszyć, czekam.

Powiesiła słuchawkę.

- Powinno być szybko. Słyszał pan, tylko trzy rozmowy, panie kapitanie...

- Poruczniku... - wyjaśnił oficer. - Nie wszyscy są kapitanami.

- W naszym mieście tak rzadko się widzi marynarzy... Mogłam się pomylić, prawda?

56

- Oczywiście! Dziękuję za awans...

Oficer rozpiął granatowy płaszcz munduru i sięgnął po papierosy, urzędniczka zerknęła w małe lustro, które zawsze leżało w uchylonej szufladzie, a dziewczyna, patrząc na przybraną gałąź jodły, stojącą na stoliku w glinianym dzbanku, szepnęła:

- Ładna, prawda wujku?

- Bardzo ładna! - potwierdził znacznie głośniej.

Na dworze nie było ciemno. Tuż przed pocztą stała latarnia, a śnieg odbijał jej światło. Wciąż padał i padał, powoli, miękko.

Nagle urzędniczka wstała z krzesła, podeszła do okna i przez chwilę nasłuchiwała.

- Co tam się znowu dzieje? Spojrzeli w stronę okna.

- No, widzi pan... nie ma spokoju z tymi łobuzami. Ciągłe to samo! Gdybym była mężczyzną, to jakbym złapała jednego z drugim! Popamiętaliby długo...

Rozwydrzone chłopaki, zupełnie bez serca... Znowu gonią tego starego!

- Stary Michał! Parę lat już go nie widziałem... - powiedział cicho oficer, jakby do siebie.

- Wujku! - krzyknęła dziewczyna. - I nasz Andrzej tam jest... z tymi chuliganami! Jemu trzeba dać po głowie, ja wujka bardzo proszę, tylko porządnie, żeby poczuł, bo ojca to on się zupełnie nie boi...

Nagle trzaskiem otworzyły się drzwi.

- Ratuj się, kto może! Głupi Michał tu idzie! - wykrzykiwał rozbawiony chłopak.

Powiało mroźnym powietrzem, śnieg otrzepany z narciarskich butów chłopca szybko topił się na podłodze, zostawiając brudne, mokre plamy.

Urzędniczka mówiła ze złością:

- No i co wam ten Michał zrobił? Wstydzilibyście się... Przecież on nawet na ulicy nie może się pokazać, gonicie go jak psa, przezywacie... Co on wam przeszkadza? Stary, chory człowiek...

Chłopiec roześmiał się zaczepnie:

- Kto chory? Jaki tam chory? Głupi Michał? - i palcem zrobił kółko na czole. - Chyba, że tu chory, pomyłony... Przecież to wariat!

57

- Uspokój się! - krzyknął oficer.

- Niech go wujek rąbnie, jak mamę kocham! Ty bałwanie! - powiedziała dziewczyna.

I chłopiec spieszył się. Mruknął:

- No już, dobrze... Tyle szumu o jednego wariata!

- Cicho... - szepnęła urzędniczka.

Za drzwiami ktoś wycierał buty, długo, dokładnie. Chłopiec cofnął się pod okno.

Oficer odruchowo zapinał płaszcz, urzędniczka usiadła na swoim miejscu. Zrobiło się zupełnie cicho.

Wszedł stary człowiek. W oberwanym palcie, z podniesionym kołnierzem. Trzymał w ręce zniszczoną torbę, jakich dawniej używali felczerzy albo podróżni. Rozejrzał się nieprzytomnie, jakby wystraszony. Podeszedł do barierki, postawił torbę na podłodze i nachylił się do urzędniczki.

- Moja złota, złociuteńka... Masz coś dla mnie? Prawda? - mówił szybko, nerwowo, zacinając się. - Prawda, że masz? Daj prędko, daj...

- Dziadku... Jeszcze nic nie przyszło do was. Może jutro? Zamachał rękami.

- Poszukaj dobrze, poszukaj! Na pewno jest, tylko nie możesz znaleźć... A może ukradli, co? Możliwe... oni tak robią! Ale poszukaj jeszcze, ja cię proszę...

Moja złota, poszukaj to bardzo ważne...

V

- Dobrze szukałam... - tłumaczyła łagodnie. - Nic nie ma, dziadku. Ale... może przyjdzie jeszcze przed ósmą! Przywiozą pocztę z warszawskiego pociągu, może coś tam będzie?

- Dobrze, przyjdę! Poczekam trochę na ulicy i przyjdę. Na pewno będzie list, na pewno...

Stary chwycił swoją torbę i ruszył do wyjścia. Ale nagle stanął. Jakby dopiero teraz spostrzegł oficera, zaczął wpatrywać się w niego uważnie, murząc oczy.

- A ty kto? Porucznik drgnął.

- A, ty marynarz? Polski marynarz, tak? Podeszedł bliżej i chwycił go za ramię.

Mówił cicho:

- Ze świata przyjechałeś? Ze świata... Coś ci powiem, schyl się... Bo oni podsłuchują, oni mnie ciągle śledzą...

58

- Niech wujek z nim nie rozmawia... - odezwał się półgłosem chłopiec. - On tak do każdego mówi! To głupi...

Dziewczyna szarpnęła go ostro i zamilkł. A porucznik nachylił się do starego:

- Panie Michale... ich już nie ma, już panu nic nie grozi...

- Są! Ty wiesz, że są. Ale Władek z nimi walczy...

- Dziadku... - przerwała mu urzędniczka - o kim dziadek mówi? Stary położył palec na ustach.

- Cicho! Oni mnie podsłuchują...

Mówił teraz do oficera prawie szeptem, jakby zdradzał mu największą tajemnicę:

- Wiesz, oni się pochowali... po dziurach, po piwnicach. Ale Władek z nimi walczy... on ich widzi z góry, wszędzie ich znajdzie... Ty marynarz jesteś? Ze świata przyjechałeś... Widziałeś mojego Władka? Spotkałeś go może? Cicho... Nic nie mów. Ja dobrze wiem: tajemnica wojskowa. Ja rozumiem...

I nagle stary wyprostował się. Podniósł rękę i niezdarnie zsalutował. Stał tak przez chwilę wyprężony na baczność, wpatrzony w coś, co tylko on widział, nieobecny. A potem powoli opuścił głowę, wcisnął ją w ramiona i zgarbił się jeszcze bardziej niż przedtem. Wyszedł, nie patrząc już na nikogo. Trzasnęły drzwi.

- Biedny człowiek... - westchnęła urzędniczka.

- Głupi Michał, i tyle... - mruknął chłopiec spod okna. - Zawsze bzdury wygadywał... Wariat!

- Wszystko mu się poplątało... - powiedziała smutno dziewczyna. - O czym on mówi?

Oficer zamyślił się, oparł o barierkę.

- On wie, o czym mówi... Wszystko mu się poplątało, ale on wie swoje. Dla niego czas zatrzymał się podczas wojny...

- Pan coś wie o nim? - spytała urzędniczka. Skrzywił się niechętnie.

- Znam tę historię... Opowiadał mi to ktoś, kto go dobrze znał...

- To może pan też wie, kim jest ten Władek?

- Wiem. To jego syn. Zaraz na początku okupacji zniknął z domu. Stąd, z tego miasta... - mówił porucznik. - To był jego jedyne dziecko. Przez góry, potem przez Węgry, przedostał się na Zachód. Wielu tak poszło... Tam wstąpił do wojska. W Anglii dostał się do

59

polskiego lotnictwa. Podobno był świetnym pilotem. Zginął w 1944 roku, zestrzelili go nad Hamburgiem. A starego Michała Niemcy trzymali parę lat w więzieniu. Potem, już po wojnie, kiedy dowiedział się, że jego syn zginął, rozchorował się, wszystko mu się pomieszało. On wciąż wierzy, że tamten żyje...

- Zaraz, zaraz... ale przecież... i urzędniczka zmarszczyła czoło, jakby coś ważnego usiłowała sobie przypomnieć. - Czy pan jest pewien, że ten Władek zginął?

Przecież... no, nie wiem, czy pan mi uwierzy, ale na każde święta stary Michał otrzymuje pocztówkę. Daję słowo, z różnych stron świata! Tu jest małe miasto, więc pan rozumie, u nas na poczcie zauważa się takie kartki z zagranicy... Na przykład na poprzednie święta stary dostał kartkę... zaraz, no chyba gdzieś z Ameryki Południowej. Wierzy mi pan? Miałam ją w ręce, pamiętam jak dziś, że podpisana była: „Twój Władek”. A pan mówi, że ten syn zginął?

- Tak, zginął. Pod koniec wojny...

- A te pocztówki? Czyżby ktoś je pisał w imieniu syna przez przeszło

dwadzieścia lat?

Oficer uśmiechnął się smutno.

- Myśmy się kiedyś też nad tym zastanawiali z chłopakami... Zaraz po wojnie stary Michał był woźnym w naszej szkole. W tej tutaj, przy rynku... Wiedzieliśmy, że te kartki do niego przychodziły. Ja myślę, że to któryś z przyjaciół syna je wysyłał, żeby starego podtrzymać na duchu. Może wcześniej tak się umówił z tym Władkiem? Różne takie umowy żołnierze zawierali ze sobą na froncie... Kto to wie, jak tam było. Ważne, że kartki przychodziły i stary Michał tylko nimi żył. Ale w parę lat po wojnie przestały przychodzić...

- No jakżeż, wujku! - wtrąciła się dziewczyna. - Przecież pani mówi, że Michał teraz też dostaje pocztówki ze świata! Więc jak to?

- Tak, znowu przychodzą... - mruknął porucznik. - Ale to już zupełnie inna historia...

- Śmieszny ten Michał! - odezwał się spod okna chłopiec. - Wujek widział, jaką on kłódkę nosi przy tej swojej torbie? Jakby miał tam bryłę złota.

- Śmieszny, śmieszny... - przedrzeźniała go dziewczyna. - Ty, Andrzej, to nic nie rozumiesz... Może on w tej torbie ma coś, co dla

60

niego jest cenniejsze od złota... Wujku! - przyszło jej nagle do głowy:

- A może on tam nosi te kartki, niby od syna?

- Stary Michał dawniej nie miał tej kłódki, choć torbę również stale ze sobą nosił. Ale dobrze pamiętam, kłódki przy niej nie było...

- powiedział porucznik. I dodał: - Dopóki go nie okradli.

Chłopiec dopiero teraz zainteresował się tym wszystkim.

- A z czego można okraść takiego Michała. Kto go okradł? Oficer popatrzył na niego przez chwilę i powiedział ostro:

- Kto? Jeden taki... Taki jak ty! Chłopcy zagadali Michała, a ten jeden wyjął mu pocztówki z torby... Wiesz, po co? Żeby zdobyć parę zagranicznych znaczków. Michał cały dzień siedział potem na schodach przed szkołą. Płakał.

- Coś podobnego! No wie pan, że to przechodzi pojęcie... - zaczęła urzędniczka, ale przerwał jej.

- Tamten chłopiec chciał potem Michałowi oddać te kartki, bo zrozumiał, czym one były dla starego... Tylko, że nie mógł oddać. Zniszczyły się przy odklejaniu znaczków...

I nagle zmienił temat. Zaczął się denerwować:

- No i co jest z tą Gdynią? Tyle czasu już czekamy!

Ale urzędniczka jakby tego w ogóle nie dosłyszała. Zapatrzyła się w okno, w podający za szybami gęsty śnieg.

Bardzo bym chciała, żeby i na te święta Michał dostał swoją kartkę...

- Niestety, proszę pani... Na te święta kartka nie przyjdzie... Jak to? A skąd wujek wie? - spytała dziewczyna.

- Może jednak przyjdzie - powiedział chłopiec.

I wtedy porucznik popatrzył na nich, na gałązkę jodły wazonie, na urzędniczkę... Nagle zdecydował się, sięgnął do kieszeni po długopis.

- Ma pani koperty? I papier?

Szybko napisał parę słów, włożył kartkę do koperty i zakleił ją. Wyraźnym, drukowanym pismem adresował: Pan Michał Jordan, Komorowice, ulica Szeroka 6, Poland.

Zaskoczeni, obserwowali go w zupełnej ciszy.

- Żeby tak jakiś znaczek... Ale zagraniczny... Może pani gdzieś ma jakiś stary, z listu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Więc co zrobić? Przecież musi być znaczek... I wtedy odezwał się chłopiec:
 - Ja mam przy sobie znaczki... Te, które mi wujek przywiózł, afrykańskie... -
 i wyjął notes.

Oficer wybrał duży, kolorowy znaczek Ghany, nakleił go i podał list urzędnicze.

Przez chwilę trzymała go w ręce. Wreszcie powiedziała cicho:

Rozmażę jakoś tak stempel, żeby nie można było odczytać... Dobry z pana człowiek.

Bardzo się cieszę, że pan to zrobił... Stary będzie miał spokojne święta... I

adres pan znał... na szczęście. Bo ja, choć tu mieszkam, nie umiałabym do
 starego zaadresować. Ale skąd pan wiedział, że w tym roku nie przyjdzie kartka?

- Wiedziałem.

Dziewczyna podeszła blisko i spojrzała mu w oczy.

- Bo wujka statek jest od dwóch miesięcy w remoncie, tak? Bo od dwóch miesięcy
 wujek nie wypływa z Gdyni?

Nie odpowiadał.

- Domyśliłam się od razu... To wujek był tym chłopcem, który mu wtedy te
 pocztówki zabrał?

- Ukradł... - poprawił chłopiec, a oficer skinął głową, odwrócił się od nich i
 powoli podszedł do okna.

- I te kartki w ostatnich latach pan do niego pisze... - powiedziała cicho
 urzędniczka.

Nagle ostro zadzwonił telefon.

- Niech wujek przejdzie do kabiny, prędko! - popędzał chłopiec.

- Halo, Gdynia? Kapitanat Portu? Halo! Tak, mówi się... Gdynia, łączę! -
 krzyczała do słuchawki urzędniczka.

A potem, kiedy porucznik wbiegł do kabiny, odłożyła słuchawkę i delikatnie
 rozmazując tusz na samym skraju znaczka ostemplowała list, który leżał przed nią
 na stole i czekał.

Padał śnieg. Na ulicach małego miasta było w ten przedświąteczny wieczór cicho i
 zupełnie białe. W stronę poczty szedł powoli stary człowiek ze śmieszoną torbą
 zamkniętą na kłódkę. Od lat wszyscy mówili po prostu: „głupi Michał”. Mało kto
 już pamiętał, jak on się tam właściwie nazywa, co on za jeden. Ot, zwyczajnie,
 miasteczkowy wariat.

W małym miście śnieg jest dobrą wróżką. Kiedy pada wieczorem - wszystko się może
 wydarzyć. Jak w bajce. Albo jak w życiu.

L/ochodziła szesnasta i Kotlarek uznał, że za oknami jest już wystarczająco
 ciemno.

- Zaczynamy! - krzyknął. - Próba świateł! Oświetleniowcy od reflektorów!

- Wyżywa się... - mruknął niechętnie Witek Okoński do Rosiaka, ale podniósł się
 posłusznie z krzesła. - „Oświetleniowcy”... Gdzie on się takich słów nauczył?

Rosiak skrzywił się i też wstał. A Sosnowska powiedziała:

- Szczęście, że to już ostatnia próba. Gdyby wszystko trwało jeszcze z tydzień,
 Kotlarek naprawdę by uwierzył, że jest wielkim reżyserem.

- Czepiacie się go! - bronił Kotlarka Domański. - Zupełnie dobrze mu to idzie,
 chłopak się przejął. A zresztą, ma ciotkę w telewizji, może się od niej
 nauczył...

- Ciotkę? - zdziwiła się Sosnowska. - Pierwsze słyszę! A kim ona tam jest?

- Pewnie bufet prowadzi... - powiedział Pawuła i najbliżej stojący wybuchnęli
 śmiechem.

- Co tam się dzieje? Z czego ryczycie? - dopytywał się ze środka sali Kotlarek.

- Życie wesołe, to i śmiać się chce! - A tobie nie? - odkrzyknął ktoś.

- Wesoło mu! Zobaczmy, jak się będziesz śmiał, jeśli przedstawienie się nie uda... Co jest tymi reflektorami? Oskoński, gaś górne światło! Rosiak, jesteś już na balkonie? Zapalaj reflektor!

- Księżniczka i chłopcy

65

W jednej chwili sala gimnastyczna jakby przestała istnieć. Zniknęły w ciemności drabinki przymocowane do ścian, pobrudzonych od uderzeń piłek, nie widać już było brzydkich siatkowych osłon na oknach. Wielka sala skurczyła się raptownie, został z niej tylko mały, świetlisty krąg między pierwszymi rzędami krzeseł a podwyższeniem sceny. Rosiak odczekał chwilę i przesunął reflektor. Krąg światła powoli wypełznął na kurtynę...

- Halina! Złe! Już powinnaś stać przed kurtyną! - denerwował się Kotlarek. -

Przecież on po to trzyma światło na podłodze, żeby nie było widać, jak się szamoczesz z tymi kocami. Masz wyjść zza kurtyny tak, żeby sala tego nie widziała. Potem Rosiak najedzie na ciebie reflektorem i zaczniesz mówić...

Powtarzamy!

Tym razem Sosnowska wyszła zza kurtyny odpowiednio wcześniej. Kiedy oświetlił ją reflektor, ukloniła się w prawo, w lewo i powiedziała głośno:

- A teraz, drodzy goście, niespodzianka! Ja nie widzę sali...

- Co to znaczy... „ja nie widzę sali”? - ryknął Kotlarek, zagłuszając ogólny chichot. - Co ty pleciesz?

- No, nie widzę sali, bo mnie to światło oślepia! - broniła się Sosnowska. -

Jak ja mam mówić, jeśli nikogo nie widzę?

- Nikogo nie musisz widzieć? Grunt, że ciebie widać! I nie złość mnie, ja cię proszę... Głupiej przerwy nawet nie umiesz zapowiedzieć! Wyjdź jeszcze raz...

Poszło lepiej. Ze sceny płynęły słowa zapowiedzi:

- A teraz, drodzy goście, niespodzianka. Wszyscy myślicie, że będzie przerwa, prawda? O, nie! Czekając na drugi akt usłyszycie brzęki...

- Dźwięki, a nie brzęki! - poprawił głośno Kotlarek. - Powtórz!

- ...Usłyszycie dźwięki gitary! I piosenkę naszej drużyny: „Balladę o harcerskiej przyjaźni...”

Sosnowska zrobiła małą pauzę i melodyjnie zaczęła recytować:

Posłuchajcie tej piosenki, posłuchajcie, jeśli chcecie... Słowa proste, wszystkim znane są od dawna.

Opowiedział dzięcioł sowie, a ja tobie ją opowiem.

66

Zaśpiewamy potem razem przy gitarze...

- Bardzo dobrze, Halina! - pochwalił Kotlarek. - Mówisz tekst piosenki tylko do tego miejsca, zawieszasz głos... i w tym momencie gaśnie reflektor. Jest zupełnie ciemno. Magda Nowicka uchyla kurtynę, ty wychodzisz, a ona wchodzi na scenę. Po kilku akordach gitary znowu zapala się reflektor na balkonie i Magda zaczyna śpiewać. Dobrze, co? - Kotlarek popatrzył z dumą na kolegów i sam sobie odpowiedział: - Bardzo dobre. To robi na widzach wrażenie!

- Największe wrażenie robi to, że po zapowiedzi nikt nie zaśpiewa! - powiedziała Sosnowska schodząc na widownię. - Przecież Magdy wciąż nie ma... A już dawno powinna tu być!

- Może ona wcale nie przyjdzie? - odezwał się ktoś spod ściany.

- I co wtedy?

- A jeśli zapomniała? Nie było jej w szkole ani dzisiaj, ani wczoraj... No? Nie pomyślałeś o tym! - i Domański spojrzał na Kotlarkę z taką miną, jakby to on był reżyserem, a tamten jego asystentem.

Kotlarek roześmiał się głośno:

- Magda mogła zapomnieć? O przedstawieniu? Żartujesz chyba. Przecież ona sto kilometrów by pieszo szła, żeby tylko wystąpić! A ty mówisz, że zapomniała. Magdy nie znasz?

- Słusznie! - poparł go Paweł. - Dla Nowickiej występ z gitarą to jest to samo, co dla mnie mecz „Polonii” z „Legią”. Święta rzecz.

- Ale w szkole jej nie było, więc może... może coś się stało?

- upierał się Domański. - Właśnie to powinien ktoś już wczoraj iść do niej do domu i spytać, dlaczego nie była w szkole i tak dalej...

- Ktoś powinien! Ktoś! Niby kto! - zachnęła się Sosnowska.

- Mogłeś iść sam...

- A niby co mnie to obchodzi? Tak tylko mówię... Ja tu podnoszę i opuszczam kurtynę. Reszta to nie mój interes!

- A czyj!

- Bo ja wiem? W końcu mamy drużynowego, niech się martwi...

- Nawiasem mówiąc, on też się spóźnia... - zauważył ktoś z przekąsem.

- Heniek pojechał na motorze po szminki do charakteryzacji.

67

Zaraz tu będzie! - odpowiedział Paweł. - Wiesz przecież o tym, Więc nie rób teraz głupich min.

- Ja tam wiem jedno: Kotlarek jest przybocznym, Kotlarek jest reżyserem, Kotlarek ma dużą głowę i ciotkę w telewizji, więc niech on się takimi rzeczami zajmuje! - podsumował Okoński i wszyscy się roześmieli.

„Teraz jest dobry moment... - pomyślał Rosiak. Mówili głośno i słyszał na balkonie każde słowo. - Powiem im po prostu, że Nowicka nie może przyjść i sprawa będzie jasna. A może najpierw powiedzieć o tym Witkowi? Wtedy on by mógł zaproponować, kto zastąpi Magdę...”

Rosiak rozejrzał się po sali, odszukał wzrokiem Okońskiego, ale nie zdążył go zawołać.

- Przelecimy teraz drugi akt! - zdecydował Kotlarek. - Aktorzy, przygotować się. Okoński, gaś górne światło!

Próba trwała. Ci, co nie brali w niej udziału, wyszli na korytarz. Mogli właściwie przyjść przed samym przedstawieniem, ale Kotlarek uparł się, żeby cała drużyna zebrała się w szkole już o trzeciej, oczywiście wszyscy w mundurach.

- Ostatecznie, przedstawienie organizuje cała drużyna - tłumaczył drużynowemu.

- Każdy powinien poświęcić przedstawieniu tyle samo czasu. Zgadzasz się z tym?

Drużynowy ustąpił, choć było w tym wszystkim dużo przesady. Taki na przykład

Sikora, który odpowiadał za szatnię dla nauczycieli i honorowych gości, albo

Pusteki, który dysponował kluczem do pokoju, gdzie przechowywano stroje, brali

udział we wszystkich próbach na równi z Witwicką grającą główną rolę i

Kotlarkiem, który całość reżyserował. A może jednak było w tym również trochę

sensu? Przez samo tylko osłuchanie cała drużyna nauczyła się ról. I właściwie

prawie każdego aktora można było w razie potrzeby zastąpić kim innym.

Ekipa recepcyjna, jak ich pięknie nazwał drużynowy - bo krzywili się, kiedy

mówiono na nich „szatniarze” i „porządkowi” - ekipa recepcyjna rozsiadła się

teraz na schodach.

Sikora wyjął z kieszeni parę irysów, przeliczył je i poczęstował tylko swoich szatniarzy, dla porządkowych już zabrakło.

- Jedz, klaso robotnicza! - powiedział. - Sami widzicie, jaki

68

wam się szef trafił. Tylko niech mi który zgubi kapelusz albo szalik

przewodniczącego komitetu rodzicielskiego, to nogi powyrywam... Aha! Zośka, masz igły? Nici?

- Dwa razy już o to pytałeś...
- Trudno, odpowiedz i trzeci raz, kiedy szef pyta! I masz jeszcze jednego irysa, bo mi się w kieszeni zaplątał...

Wszyscy wiedzieli, że w drugiej kieszeni Sikora ma jeszcze pewnie z pięć irysów dla Zośki, ale nikt nic nie mówił. Bo po co? Zakochani, więc niech sobie jedzą irysy, ich prawo. Trudno wymagać, żeby Sikora kupował cukierki na przykład dla Kotlarka.

- Wiecie, co? - odezwała się nagle Zośka. - Nie powinno się jednak ludzi wypuszczać na zagraniczne wycieczki...

- Dlaczego? Co ci znowu strzeliło?

- Gdyby naszemu drużynowemu w jakimś teatrze w Budapeszcie nie przyszyli wieszaka do palta, to bym dzisiaj nie musiała tu dyżurować z igłą i nićmi...

- W Polsce też przyszywają, nie przejmuj się Budapesztem! - pocieszał Zośkę Okoński, który również wyszedł z sali i dołączył do nich.

Witek Okoński miał w przedstawieniu rolę mało skomplikowaną. Jego zadanie polegało na gaszeniu i zapalaniu górnego światła oraz na obsłudze bocznego reflektora. Był to jednak nieruchomy reflektor. Jak się go raz zapaliło, to przez cały akt rzucał światło na scenę. A kiedy kurtyna opadała, to się reflektor gasiło. I spokój. W sumie Okoński miał nie więcej niż dziesięć „przytknięć” kontaktem. Przepracować się w ten sposób nie można, a funkcja ważna, odpowiedzialna! I jeszcze jedno: na wypadek, gdyby nawaliły w szkole główne korki, Okoński nosił w kieszeni trzy zapasowe. To wszystko.

Co innego drugi oświetleniowiec, Rosiak. Ten obsługiwał ruchomy reflektor, zamocowany na balkonie. Mógł jeździć światem po całej sali, zwężać krąg, rozszerzać oraz operować czterema wymiennymi, kolorowymi szybkami. On więc odpowiadał za wszystkie efekty świetlne.

Drużynowy miał głowę do podziału funkcji. Dlaczego na przykład właśnie Okoński i Rosiak zajmowali się światłem? Bo to była dwójka przyjaciół, o czym wszyscy w szkole od lat wiedzieli. A dlaczego Zośkę przydzielono do szatni, pod komendę Sikory? Bo dru-

69

żynowy zdawał sobie sprawę, że gdyby ich rozdzielił, to Sikora byłby podenerwowany, a wtedy nie trudno o bałagan w szatni.

Zza drzwi dobiegały głosy aktorów męczących się w drugim akcie. Tutaj, na schodach, było spokojnie, dopóki nie przyjechał drużynowy.

Wpadł w kasku motocyklowym, oddał go Sikorze (szatnia!) i potrząsnął dumnie pudełkiem ze szminkami do charakteryzacji.

- Mam! Widzicie? A tyle było gadania: kto nam pożyczycy? Skąd to weźmiemy?

- Od kogo dostałeś? - spytał Sikora. Starsi harcerze od obozu letniego byli z drużynowym po imieniu.

- Od ciotki Kotlarka!

- Znowu ta ciotka z telewizji! Nic, tylko całe popołudnie straszy tutaj... - jęknął Okoński.

- Za pół godziny sam ją zobaczysz, bo tu przyjdzie! Pomoże nam „pomalować” naszych aktorów. To bardzo równa babka. Ale niestety, przedwojenna...

- Co to znaczy „przedwojenna”? - spytała Zośka.

- Nie kompromituj się, dziewczyno? - zgasił ją Sikora. - No, pomyśl: co to może znaczyć? Zamek na Wawelu też jest przedwojenny...

- Wawel jest ładny... To znaczy, że ciotka też?

- No i gadaj z taką gęsią! - zdenerwował się Pusteki. - Przedwojenna to znaczy stara. Jak wawelski zamek! Jasne?

- Chłopaki, jak idzie próba? Nie wygłupimy się z tym przedstawieniem? -

dopytywał się drużynowy.

- Jak dotąd, wszystko gra! Tylko nie wiadomo, kto będzie śpiewał balladę...
Magdy ciągle nie ma!

- O, choroba... No i co na to Kotlarek?

Nie musieli odpowiadać, co na to Kotlarek. Okoński usłyszał przez drzwi ostatni okrzyk ze sceny, wpadł na salę i zapalił górne światło.

- Koniec próby! - krzyczał Kotlarek. - Chodźcie tu wszyscy! O, jest już drużynowy, świetnie. A Magdy Nowicka przyszła? No, jest Magda, czy nie?

- Nie wydieraj się, nie jesteśmy głusi... - powiedział drużynowy. - Magdy nie ma. Co będzie z balladą? Posłałeś kogoś do Nowickiej do domu?

70

- Nawet mi to do głowy nie przyszło! Byłem przekonany, że tu zaraz przyjdzie...

- A mówiłem, że ktoś powinien iść do niej już wczoraj! Bo ja uważam... - zaczął Domański, ale mu przerwano.

- Słuchajcie! A może ona jest już za wielką artystką, żeby brać udział w szkolnym przedstawieniu? Może chciałaby do telewizji, do filmu? - powiedziała Witwicka.

- Daj spokój, nie wymądrzaj się! Kto mieszka najbliżej Magdy? - spytał głośno drużynowy. - Pytam: kto wie, co się z nią dzieje?

Rosiak zszedł już z balkonu. Usłyszał ostatnie pytanie, pomyślał chwilę i odciągnął na bok Okońskiego.

- Witek, powiedz im, że Magda nie przyjdzie! Powiedz, że wiesz to na pewno i trzeba zdecydować, kto ją zastąpi...

Okoński popatrzył na niego jak na wariata.

- A niby skąd ja mogę na pewno wiedzieć, że ona nie przyjdzie?

- Bo ja ci to mówię! Nie przyjdzie... I nie będzie śpiewać!

- To sam im powiedz, skoro wiesz! I w ogóle dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?

Rosiak milczał. Żałował, że nie załatwił tego wszystkiego wcześniej, kiedy jeszcze nie było drużynowego. Trudno, stało się. Ale dobrzewiedział, że dłużej już nie może zwlekać. Wolał jednak, żeby to Okoński powiedział...

- Witek! Proszę cię... Powiedz, że ona nie przyjdzie, bo coś tam jej wypadło w domu. Zrób to dla mnie...

- Ale dlaczego mam tak powiedzieć?

- Potem ci wyjaśnię. No, bądź kolegą! To ważne, żebyś ty powiedział, a nie ja...

Drużynowy jeszcze raz zapytał:

- Więc nikt nic nie wie? Tak? No, to jadę do Magdy...

- Witek! Teraz mów! No! - prosił szeptem Rosiak. - Bo będzie za późno...

Okoński nic z tego nie rozumiał. Ale wzruszył tylko ramionami i głośno krzyknął:

- Ja wiem! Magda nie będzie dziś śpiewała. Trzeba ją zastąpić... Nie masz co, Heniek, po nią jechać!

Wszyscy byli zdumieni, a najbardziej Kotlarek.

- Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej?

71

- Nikt mnie nie pytał...

- To ty musiałeś czekać, aż cię ktoś spyta, tak?

- Na pewno wiesz, że nie przyjdzie? Sama ci mówiła?

- Na pewno - Okońskiego zaczęło już to wszystko nudzić. Rozzłościł się: -

Dajcie wy mi święty spokój...

- Skoro już tyle wiesz, to powiedz nam przynajmniej, dlaczego ona nie przyjdzie?

Chora jest czy jak?

Okoński patrzył na nich. Nie wiedział, co powiedzieć. Zerknął na Rosiaka.

- Nie jest chora, tylko ma jakieś kłopoty w rodzinie... - podpowiedział mu

szeptem przyjaciół.

- Magda ma kłopoty w domu! Koniec, więcej nie wiem! - Okoński odwrócił się i spokojnie poszedł zgasić reflektor.

Przez chwilę na sali panowała cisza.

- Każdy ma jakieś kłopoty w domu... - odezwała się wreszcie Witwicka.

Nigdy nie lubiły się z Magdą i wszyscy o tym wiedzieli. Nikt więc nie słuchał, co Witwicka ma teraz do powiedzenia. A ona powtórzyła:

- Każdy ma swoje kłopoty... Ale jakby Magda chciała, to by przyszła... Ja myślę, że ona ma nas wszystkich po prostu w nosie. Te eliminacje wojewódzkie, pół roku temu, przewróciły jej w głowie... Pieśniarka! Druga Sława Przybylska!

- Witek! Czy ona ci mówiła, jakie ma kłopoty? - zapytał Sikora. Okoński był teraz w drugim końcu sali, przy swoim reflektorze.

Rosiak nic mu nie mógł podpowiedzieć. A cała drużyna czekała.

- Nie pytałem... - powiedział Okoński. - Co mnie obchodzi cudze sprawy? Nowicki ma ojca i matkę, niech się o nią martwią... Wiem tylko tyle, że nie przyjdzie...

Wściekły był, że dał się Rosiakowi zrobić, nie widząc, o co chodzi. Ale teraz już musiał brnąć na własne konto.

- W tej sytuacji trzeba chyba zrezygnować z występu Magdy! W końcu to jest próba generalna, za godzinę przedstawienie i jeśli Nowicka chciała wystąpić, to powinna przyjść... - mówił Pustecki. - Musi tę piosenkę kto inny zaśpiewać!

- Pewnie, że może kto inny - mruknął Kotlarek. - Ale sami przecież wiecie, że Magda to śpiewa najlepiej...

72

- A może ona jeszcze przyleci w ostatniej chwili? - podała myśl Zośka.

Spojrzała na Sikorę, jakby chciała, żeby ją poparł. Ale Sikora zrobił minę, z której wynikało, że nie wierzy już w przyjście Magdy. I Zośka dodała innym tonem:

- A zresztą... niech drużynowy zadecyduje, kto ma za Magdę zaśpiewać. I kończymy tę sprawę, bo się robi późno...

Wtedy właśnie odezwał się Rosiak:

- Słuchajcie... gdybyście się zgodzili, ja bym mógł to zaśpiewać. Jak myślicie?

Nie byli tak bardzo zdziwieni. Wiedzieli, że Rosiak może wystąpić. Śpiewał już kiedyś w duecie z Nowicką, był solistą w szkolnym chórze. Na letnich obozach, na wycieczkach to właśnie on, na przemian z Kotlarkiem, prowadził ogniska.

- Mógłbyś spróbować... - mruknął drużynowy. - Na pewno ci wyjdzie...

- A gitara? Jak zaśpiewasz bez gitary? - zmartwiła się Zośka.

- To będzie zupełnie do bani...

- Mam gitarę!

- Co? - spytał Kotlarek, jakby nie dosłyszał. - Co masz?

- Masz gitarę? - zdziwił się Witek Okoński i podszedł bliżej.

- Co ty pleciesz, chłopie? Przecież nigdy nie miałeś!

- Nie miałem, a teraz mam. Czy to takie dziwne? - powiedział spokojnie Rosiak i wzruszył ramionami. - Składałem forszę pół roku, no i wreszcie kupiłem...

- Kiedy? - dopytywał się Okoński. - Kiedy kupiłeś? Nic nie wiedziałem...

- Uspokój się już, Witek! Kiedy i kiedy... Potem go spytasz, teraz nie ma czasu na rozmówki! - złościła się Witwicka. - Skoro on naprawdę ma gitarę, to niech leci po nią do domu. Ale szybko!

- Rzeczywiście, niech Rosiak pędzi po tę gitarę. I niech śpiewa...

- A reflektor? Kto będzie obsługiwał reflektor na balkonie? To nie takie proste... - przypomniał Pustecki.

- Przy reflektorze z powodzeniem może mnie zastąpić Okoński! Witek, prawda? - zaproponował Rosiak. - A to jego boczne i górne światło byle kto może zapalać i gasić. Choćby Kotlarek...

- No, tylko nie byle kto! - obruszył się Kotlarek. Popatrzył po chłopcach i nagle zdecydował: - Trudno, niech będzie. Okoński

73

przejmie reflektor na balkonie, Pustecki zastąpi Okońskiego, Rosiak śpiewa. Lec po gitarę! Czego jeszcze sterczysz?

- Nie muszę nigdzie lecieć, bo gitara jest tutaj... - Uśmiechnął się Rosiak.

Ale zaraz zorientował się, że ten uśmiech był zupełnie niepotrzebny. Patrzyli na niego jakoś dziwnie. A może tylko tak mu się zdawało? Dodał więc szybko:

- Co się tak gagicie? Przyniosłem gitarę ze sobą, na wszelki wypadek... Więc jak? Mogę spróbować?

- Oczywiście! Śpiewaj! Nie wstydz się! - zachęcała Witwicka. Ale Rosiak lepiej usłyszał to, co powiedział drużynowy:

- Widzę, że ty przewidujący jesteś, jeśli tak chodzisz po mieście z gitarą „na wszelki wypadek...”

Nie zdążył nic odpowiedzieć, bo w tej samej chwili wyrósł przed nim Okoński. Był wściekły, ledwie się hamował.

- Mam do ciebie dwa słowa! Chodź...

- Chwileczkę, potem pogadacie. Ty, Rosiak, a dlaczego nie powiedziałeś nam o tej gitarze na początku próby? - spytał Sikora podejrzliwie. - Coś tutaj, bracie, kręcisz!

Rosiak odsunął się od Okońskiego. Tłumaczył spokojnie:

- A co tu jest do kręcenia? Po co miałem wam mówić wcześniej? Żebyście powiedzieli, że się pcham na scenę, tak? Teraz, kiedy mi każecie zaśpiewać, to co innego. Mogę spróbować... Tym bardziej, jeśli Witek Okoński twierdzi, że Magda nie przyjdzie!

- Co? - rzucił się Okoński. - Ja twierdziłem, że Magda nie przyjdzie? Ja?

Pomyśl, co mówisz!

- Oczywiście, że ty twierdziłeś! A kto? Przecież wszyscy słyszeli! - powiedział drużynowy. A Domański dodał:

- I nie rób teraz z siebie durnia!

- No, właśnie... - mruknął Rosiak. Podszedł powoli do krzeseł, na których leżały paltta, i zaczął je przekładać. Mówił:

- Przyszedłem dzisiaj pierwszy i dlatego nikt gitary nie widział. Tutaj leży, pod paltami...

Wyjął gitarę, przewiesił przez szyję i wziął parę akordów. Podkreślił jedną strunę, drugą... Znowu spróbował.

- Mogę zacząć?

- Nareszcie! Załatwione... cieszyła się głośno Zośka. - A już się bałam, że będzie awaria.

74

- Tylko teraz cisza. Siadajcie wszyscy. Posłuchamy, jak mu to idzie... - zarządził Kotlarek. - Znasz wszystkie zwrotki?

Rosiak lekko wskoczył na podwyższenie sceny.

- Znam! Zaraz... więc to ma być tak: wyjdę zza kurtyny po ciemku, nie będzie mnie widać. Potem parę akordów, Witek Okoński oświetli mnie - i zacznę... Dobrze zapamiętałem?

- Dobrze... - potwierdził Kotlarek. - Zaczynamy!

Zrobiło się cicho. Rosiak niezłe śpiewał. Widać tylko było, że stara się naśladować Magdę Nowicką, zawieszał głos, podobnie jak ona, w tych samych miejscach robił pauzy...

- To nie jest, niestety, Nowicka... Ale ujdzie, prawda? - szepnął Kotlarek do drużynowego.

„Coś tu nie jest w porządku... - myślał Okoński. - Dlaczego mnie zrobił? Wyszedłem na durnia. Czemu chciał ukryć, że wie coś pewnego o Nowickiej? I dlaczego Magda sama nie dała znać, że nie może przyjść? Coś on za dobrze śpiewał! A może już wcześniej wiedział, że będzie dziś śpiewał, i zdążył się przygotować... Kiedy on kupił tę gitarę? Nawet mnie nic nie powiedział... Przyjacieli! A przecież nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic... Nie, to ja nigdy nie miałem. A on? Kto go tam wie... Coś mi tu nie pasuje... Ale właściwie co?”

Rosiak wyraźnie rozkręcił się, druga zwrotka poszła lepiej niż pierwsza. Płynęły dobrze wszystkie znajome słowa:

4 W pewnym mieście jest ulica
kasztanami wysadzana. Przy ulicy stoi szkoła, jakich tysiąc.
A w tej szkole jest drużyna, drugiej takiej nigdzie nie ma. Ona wszystkim do
przyjaźni drogę wskaże.

- W porządku, będziesz śpiewał! - powiedział głośno drużynowy. - A teraz odnieście swoje palto do szatni. Koniec próby! Macie pół godziny odpoczynku! Na sali pozostało parę osób. Ekipa recepcyjna obejmowała swoje posterunki, Domański jeszcze raz spróbował, czy kurtyna się nie

75

zaczyna. Oczywiście, zaczynała się. Aktorzy wyszli przed szkołę, żeby się przewietrzyć przed charakteryzacją, ale szybko wrócili. Za zimno było, listopad. Okoński nie podchodził do Rosiaka, czekał. Ale tamten jakby tego nie widział. Zagadał się z Witwicką, potem jeszcze z kimś, a wreszcie wziął swoje palto i pobiegł do szatni. Przez cały czas nie rozstawał się z gitarą.

„Zaraz pewnie wróci. Przecież musi mi chyba coś powiedzieć!” - myślał Witek Okoński. Usiadł w pierwszym rzędzie i czekał. Rosiak jednak nie wracał.

Nagle od drzwi zawołał Sikora:

- Okoń! Chodź do kancelarii, twój ojciec dzwoni!

- Ojciec, czego chce?

- Może sprawdza, czy tu jesteś...

Weszli obaj do kancelarii. Sikora zamknął drzwi na klucz. Pod oknem stał drużynowy i Pustecki. Słuchawka telefonu leżała na widelkach i Witek zorientował się, że to był tylko pretekst, chcieli go wywołać z sali.

- Co się dzieje? - spytał. - Tajne zebranie?

- Tajne... - potwierdził drużynowy. - Siadaj. Wy też. Pytasz, co się dzieje? To właśnie my ciebie chcemy spytać!

- Nie rozumiem...

- Witek! Powiedz uczciwie: wiesz, skąd Rosiak ma tę gitarę?

- Nie! Pojęcia nie mam...

- Przecież to twój przyjaciel. Nic ci nie mówił? - zdziwił się Sikora. - Nie wierzę...

- Pocałuj ty mnie w nos! Przyjacieli! No, to co, że przyjaciel? Mówię, że nie wiem, to nie wiem... Sami go pytajcie!

- Spokojnie... Nie rzucaj się, bo jeszcze nie masz o co! - mówił drużynowy. - Skąd wiesz, że Magda nie przyjdzie? Rozmawiałeś z nią?

Okoński milczał przez chwilę.

- Nie.

- Więc skąd wiesz? - spytał Pustecki.

- Od niego, od Rosiaka...

- Coraz gorzej... - mruknął Sikora. - Kółko się zamknęło, teraz znowu nic nie wiemy... Może jednak zawołać tu Rosiaka?

76

- Ale o co wam chodzi? Czego wy właściwie chcecie? Dlaczego się czepiacie Rosiaka? - wypytywał Witek. - Powiecie, czy nie?
- Skoro nie wiesz, to powiemy. Pustecki poznał tę gitarę. To jest gitara Magdy!
- Zwariowałaś? - Okoński zerwał się z krzesła. - To niemożliwe!
- Głowę daję! - powiedział Pustecki. - To gitara Magdy. Z boku ma taką grubą rysę. Pożyczyłem kiedyś tego grata od Magdy dla mojego kuzyna. Jak tylko Rosiak zaczął tam na sali stroić gitarę, coś mi się wydała znajoma. Specjalnie przewinałem się bardzo blisko. Daję wam słowo, że to gitara Nowickiej.
- Bzdura! Przecież nie zamordował Magdy i nie zabrał jej gitary! A może... słuchajcie! A może mu pożyczyła?
- Pożyczyła! Żeby ją zastąpił w przedstawieniu! Magda mu pożyczyła gitarę, żeby zaśpiewał zamiast niej. W tajemnicy przed całą drużyną! - i Sikora popatrzył na Okońskiego jak na kogoś niespełna rozumu. - Przecież sam w to nie wierzysz. Po prostu bronisz go, bo to twój serdeczny przyjaciel...
Witek nic nie powiedział.

- Tam już pewnie zaczynają schodzić się widzowie... Teraz niczego nie zdążymy wyjaśnić. Po przedstawieniu pogadamy z Rosiakiem. Tak jak tu jesteśmy, plus Sosnowska, Młynarczykówna i Kotlarek. Czyli cała rada drużyny. Zgoda? - zaproponował drużynowy. - A teraz nikomu nic nie mówcie. Tajemnica!

Sikora i Pustecki kiwnęli głowami.

- Zgoda...

Okoński nie powiedział ani słowa. Podszedł do drzwi, przekręcił klucz i pierwszy wyszedł z kancelarii. Nie przyszło mu nawet do głowy, że powinien pójść teraz na balkon i spróbować, czy da sobie radę z reflektorem. W ogóle nie myślał o przedstawieniu. Szukał Rosiaka.

Na sali przybywało gości, robiło się coraz tłoczniej. Uśmiechnięci porządkowi wskazywali miejsca. Było jakoś odświeżenie. Witek znalazł Rosiaka w pokoju, gdzie Kotlarek i jego ciotka z telewizji charakteryzowali podenerwowanych aktorów.

- Chodź na chwilę... - powiedział spokojnie.

Po co? - obruszył się Rosiak. - Koniecznie teraz? Z gitarą?

- To zostaw gitarę. Tak, koniecznie teraz...

77

Rosiak wyszedł, ale gitary nie zostawił. „Pewnie przez cały czas w ogóle nie zdjął jej z szyi - pomyślał Witek. - Więc to chyba prawda, co mówił Pustecki...”

- Czego chcesz? - spytał Rosiak. - Masz żal, że przeze mnie trochę się wygłupiłeś z tą wiadomością o Magdzie? Przecież to drobiazg...

- Nie, nie mam żalu. To głupstwo... Słuchaj! To jest gitara Magdy, prawda?

Rosiak był zaskoczony. Cofnął się o krok, spojrzął na gitarę, na Okońskiego...

- Poznałeś? W jaki sposób?

- Poznałem. Skąd ją masz?

- No, przecież nie ukradłem. Chyba nie myślisz, że ukradłem?

- Oczywiście, że nie... Więc skąd masz?

- Kupiłem. Za trzysta złotych... To stary instrument, całe pudło porysowane...

- Właśnie, porysowane. Ale tanio kupiłeś. Kiedy?

- Wczoraj wieczorem. Magda sama do mnie przyszła. Pytała, czy bym nie kupił, bo ona potrzebuje pieniędzy... Co tak patrzysz? Mówię prawdę!

- Magda nie była w szkole ani wczoraj, ani dzisiaj. Potrzebowała pieniędzy... tak mówisz. Co tani się u niej stało?

- Już ci przecież powiedziałem, że ma kłopoty w domu...

- Jakie to kłopoty? Mówiła? Rosiak zawahał się przez moment.

- Mówiła... Ale co ciebie to obchodzi? Przecież sam powiedziałeś przy całej drużynie: Magda ma ojca i matkę, niech się o nią martwią. Powiedziałeś, tak? To

teraz nie czepiaj się mnie!

- Powiedziałem. Bo mnie napuściłeś, ale teraz chcę wiedzieć, o co chodzi. Więc jakie to kłopoty, Rosiak? Mówisz, czy nie?

- „Rosiak, Rosiak...” Coś taki oficjalny? Patrzyli na siebie bez słowa i Rosiak dojrzał w twarzy Witka coś dziwnego... Przestraszył się trochę. Znał go tyle lat, przyjaźnili się i choć czasem dochodziło do kłótni, były to zwyczajne sprzeczki. Teraz Witek patrzył na niego inaczej.

„Lepiej mu powiedzieć i będzie spokój... - pomyślał Rosiak. - Gotów jeszcze się obrazić, że mam tajemnice. Poleci i rozpowie

78

wszystkim o tej gitarze. Trochę głupio by było, przed samym przedstawieniem...

Bo jutro to już może sobie gadać. Co mi tam! Przecież nie ukradłem... Powiem mu.

W końcu to przyjaciel. A może nie mówić?"

Okoński pierwszy przerwał milczenie. Mówił spokojnie i cicho, robił pauzy między słowami, jakby już był zmęczony tym wszystkim.

- Rosiak, posłuchaj... Magda ci sprzedała gitarę. Magda! To się nie mieści w głowie. Ty wiesz, co dla niej znaczy gitara? Całej klasie opowiadała, że kiedy ją dostała od ojca, to płakała z radości. Pamiętasz, jak o tym opowiadała? No, to dobrze. I wszyscy wiedzą, że Magda prędzej by ostatnie buty sprzedała niż gitarę. A jednak sprzedała gitarę. Wiesz dlaczego? Bo butów nikt by nie kupił. A na gitarę amator się znalazł. Musiała naprawdę bardzo potrzebować tych pieniędzy... Pytam cię ostatni raz: na co jej te pieniądze były potrzebne?

Powiesz i odejść, dam ci spokój...

Rosiak zdecydował się. Nie mał wyboru.

- Magdy ojciec jeździ na pekaesach, na dalekobieżnych, towarowych... Miał wypadek pod Koszalinem. Leży w szpitalu. Matka Nowickiej wczoraj pojechała do niego... Magda została w domu z młodszym bratem. Dlatego nie przysłała do szkoły.

- Tak... Rozumiem! Teraz wszystko jasne... - powiedział Okoński, odwrócił się i odszedł.

- Ale o co ty masz do mnie pretensję? - zawołał Rosiak. - Przecież jej zapłaciłem. Sama zaproponowała, żebym kupił...

Sala była już prawie pełna, goście zajmowali miejsca. Okoński bez trudu odnalazł drużynowego, który rozmawiał z kierownikiem i rodzicami. Przeprosił go na chwilę.

- Druhu drużynowy, ważna sprawa! - zameldował oficjalnie.

- Bardzo ważna!

- Oczywiście, niech druh idzie i nie zawraca sobie nami głowy!

- powiedział przewodniczący komitetu rodzicielskiego.

Wyszli na schody.

- No? - spytał drużynowy. - Co się stało? Heniek... pożycz motor, daj kluczyki...

- Zwariowałeś?

- Wiesz, że dobrze jeżdżę. Na obozie mi dawałeś...

- Ale tu jest miasto. Nie masz prawa jazdy... A zresztą, czyś ty z konia spadł?

Gdzie ty chcesz jechać?

79

- Do Magdy Nowickiej...

- Co?

Okoński powtórzył rozmowę z Rosiakiem. - Po co z nim gadałeś? Mówiłem, że załatwimy to po przedstawieniu...

- Nie będziesz miał co załatwić. Rosiak uważa, że wszystko jest w porządku: zapłacił, kupił i cześć. Nie ukradł.

- Choroba jasna! - zdenerwował się drużynowy. - Przecież to nie jest tak!

Musiał handlować? Nie mógł dziewczynie po prostu pożyczyć pieniędzy? Wykorzystał sytuację, kupił za pół ceny, zrobił interes. I to ma być w porządku!

- Nie krzycz tak głośno... Patrzą na nas. I nie agituj mnie. No, więc? Dasz motor?

- Godzinę temu chciałem do niej jechać! I właśnie ty mnie powstrzymałeś...

- Wiem. Dlatego teraz ja pojedę... Nie można Magdy zostawić samej. Musi wiedzieć, że o niej myślimy...

- Tak. Że my o niej myślimy słuchając, jak Rosiak śpiewa z jej gitarą naszą piosenkę o przyjaźni! - i drużynowy znowu zaklął: - Szlag by to trafił!

Po schodach przebiegł właśnie zaaferowany Kotlarek.

- Heniek, nie klnij! Działwa słucha! - krzyknął. - Za pięć minut zaczynamy. Okoński, zasuwasz na balkon do reflektora!

- Słusznie, przecież ty już tam dawno powinieneś być! - uświadomił sobie drużynowy. - Bez ciebie przedstawienie będzie sknoco-ne. A ja tu jestem teraz do' niczego nie potrzebny. Pojadę do Magdy... Nie! Pojadę po Magdę!

- A ten jej mały brat? - spytał Witek.

- Nie wiem. Zobaczą, co się da zrobić! Leć na balkon! Wbiegając na salę, Okoński usłyszał jeszcze, jak drużynowy zawołał:

- Sikora! Dawaj mój kask, ale prędko...

Rozpoczęło się przedstawienie. Wszystko szło dobrze: Domańskiemu wyjątkowo nie zacięła się kurtyna, aktorzy mówili tekst nawet lepiej niż na próbach, bo głośniejsze, pewnie ze zdenerwowania, Puste-cki co prawda zapalił boczny reflektor trochę za wcześnie, przed zgaszeniem górnego światła, ale wszyscy myśleli, że tak musi być.

Okoński widział ze swojego balkonu, że sala żywo reaguje, przedstawienie podoba się, biją brawo, wybucha śmiech. Tu, na

80

górze, czuł się trochę tak, jakby to on tym wszystkim dyrygował: zmiana szybki - i salę przecina smuga czerwonego światła, znowu zmiana - i na scenie jest noc, skręt reflektora - i już wszyscy widzowie patrzą w ten kąt sceny, który wskazało im światło.

Początkowo było trochę kłopotu z tymi skrętami. Reflektor miał za duży luz w pionie i parę razy światło zjechało nieco w dół, na pierwsze rzędy krzeseł.

Wtedy Witek widział, jak ci na sali odwracają głowy i patrzą w jego stronę, na balkon. Zdawał sobie sprawę, że nikt go nie może dojrzeć, ale złościł się, że reflektor robi mu kawały. Wykorzystał chwilę, kiedy na scenie toczyła się spokojna rozmowa dwóch aktorów, i zgasił swoje światło. „Kotlarek będzie wściekły, ale widzowie się nie kapną! - pomyślał. - A tym na scenie wystarczy boczne oświetlenie, najwyżej będą rzucali cienie...” I zaczął regulować wszystkie śruby reflektora. Powinien był to zrobić przed rozpoczęciem przedstawienia, ale wtedy nie miał czasu.

Po chwili na balkon przybiegła Halina. Kotlarek ją przysłał.

- Coś się zepsuło? - pytała szeptem.

- Nie... Zaraz zapalę! Jeszcze moment...

Spróbował pion, sprawdził, czy reflektor może zataczać łuk. Teraz było wszystko w porządku, mógł już zapalić.

- Poczekaj jeszcze... - poradziła Halina. - Zaraz na scenę wpadnie Witwicka, przywitasz ją światłem. Wyjdzie na to, że tak było specjalnie... Uwaga! Już! Strzelił światłem i wyszło rzeczywiście dobrze.

- Dziękuję... - mruknął. A po chwili: - Halina! Ja ci też coś poradzę...

- No? Mów szybko, bo już muszę tam lecieć...

- Nie śpiesz się z zapowiedzią piosenki... I nie denerwuj się, jeśli ja zrobię

coś inaczej, niż było umówione. Dopasuj się do mnie... W połowie zapowiedzi zdejmę z ciebie światło i pojeżdżę reflektorem po sali...

- Myślisz, że tak będzie lepiej?

- Zobaczymy... Idź już!

Pierwszy akt dobiegł końca. Dopiero teraz Okoński zaczął się denerwować. „Na próbach to trwało ponad pół godziny, teraz mówią jakby trochę szybciej...

Dziesięć minut motorem w jedną stronę, dziesięć z powrotem. Już powinni tu być.

Chyba, że coś się Heńkowi nie udało...”

Księżniczka i chłopcy

81

Spojrzał na scenę. Ktoś jeszcze miał wejść... Aha! Już jest Pawu-ła... No, to teraz tylko parę zadań...

Konie- aktu. Kurtyna. Okoński zgasił reflektor. Widzi, jak Domański s?amoCe sie z kurtyną, żeby jeszcze raz odsłonić aktorów... Zacięła s^! Domański cofnął, pociągnął, znowu cofnął... Poszła w górę. Aktorzy kłaniają się... Oklaski, dużo oklasków.

„Żeby 1?1?? Pustecki się nie zagapił...” - myśli Witek i patrzy w jego stf^ne- Nie. Pustecki jest przytomny. Podnosi lewą rękę, to umówiony znak, że zaraz zgasi... Kurtyna opada.

Na s»u Jest teraz zupełnie ciemno. Witek słyszy, jak przebiega przez nią Przeciągły szmer. To widzowie nie wiedzą, dlaczego nie zapala się górne światło, sądzili przecież, że teraz będzie przerwa...

Okoński opuszcza reflektor, stara się wycelować w pierwsze rzędy... Zapala.

Teraz Halina powinna wyjść przed kurtynę. Sala nie wie o tym, wszystkie głowy zwracają się w stronę balkonu... Światło wchodzi na sc^nę. w porządku, Halina już tu jest. Uśmiecha się, kłania i zaczyn^ Swoją zapowiedź...

Witek zaciska palce na uchwytach reflektora. „Zanim zaczniesz recytować pierWSZą strofkę, powinna zrobić pauzę...” Jest pauza! Teraz gwałtowny skręt całym ciałem.

Okoński aż kładzie się na reflektorze... S\yjatło zatacza łuk po całej sali, aż do ostatnich rzędów, pod samym balkonem. Wraca powoli. Świetlny krąg przesuwają się teraz po ścianie...

- Co ten wariat wyprawia? Rany Julek! - mówi szeptem przerażony Kotlarek.

- Robi efekty świetlne, skupia uwagę sali... - odpowiada mu ciotka z telewizji

- Myślałam, że to umówione!

Okoński pr^esuwa światło metr po metrze, płynnie, nawet ładnie to wygląda.

Jalęby chciał pokazać całą galerię stojących pod ścianą, dla których zabrakło miejsc.

- Może to i niegłupie... - mruczy pod nosem Kotlarek.

„Jeśli już przyjechał, to gdzieś tutaj musi stać... - myśli gorączkowo Witek. -

]sja saij ?? ma wolnych miejsc, nie mógł usiąść... Jeszcze parę metrów, teraz minę drzwi... Jest! Są!”

Nie zatrzymaj światła w tym miejscu. Opanował się. Z trudem, ale opanował s\$ę; sunął reflektorem dalej, do końca ściany. Pewnie nikt na sali się ?? spostrzegł.

Ale Okoński dobrze wiedział: koło

82

drzwi stał drużynowy, obok niego Magda Nowicka. „Heniek nawet nie zdążył zdjąć kasku... Są! W porządku!” I Witek uśmiecha się do siebie. Do siebie, do nich...

Światło wraca na scenę, oświetla Halinę. „Zorientowała się, czy nie? - myśli

Witek. - Nieważne...” Halina recytuje melodyjnie pierwszą strofkę ballady,

Kotlarek i aktorzy oddychają z ulgą. No, znowu wszystko idzie jak trzeba! Koniec strofki, gaśnie światło. Przez moment będzie zupełnie ciemno. W tym czasie

Rosiak ma wyjść z gitarą przed kurtynę...

Już słyhać pierwsze akordy. To znak dla Okońskiego, żeby zapalił reflektor. I Okoński zapala. Ale światło nie pada na scenę.

Wszystkie głowy zwracają się w stronę drzwi. W pełnym świetle reflektora stoi Magda. Obok niej drużynowy. Mijają sekundy... Nowicka jest speszona, nie wie, co ma zrobić. Mówi coś do drużynowego... A ten, nagle, może odruchowo, wyciąga rękę i macha w stronę balkonu. Nikt nie wie, o co mu chodzi. Ale Okoński rozumie dobrze. Tylko oni dwaj rozumieją się teraz...

Nie. Nie tylko oni. Z końca sali słyhać okrzyk Sikory:

- Magda, na scenę!

Podchwytyją to porządkowi, podchwytyje cała sala. „Ten miał zawsze refleks! - myśli z uznaniem Okoński. - Brawo, Sikora. Chociaż- raz się przydało, że potrafiś się wydzierać!”

- Nowicka, na scenę! Magda, śpiewaj!

Słyhać oklaski. Widzowie sądzą, że to jest umówiony chwyt, wywołują Magdę coraz energiczniej. Przecież cała szkoła ją zna, wie, że to ona musi zaśpiewać. Zawsze śpiewała.

„Jak się teraz czujesz, Rosiak? Stoisz tam na scenie, po ciemku. Ściskasz gitarę i widzisz, co się dzieje, słyszysz! - myśli Okoński. - Nikt do ciebie nie może mieć o nic pretensji, przyjacielu. Wszystko przecież jest w porządku. Ale jak się teraz czujesz?”

Witek widzi, że drużynowy lekko popycha Magdę w stronę sceny. Dziewczyna nie chce iść, ale robi krok, dwa... Teraz Okoński przesuwa reflektor, prowadzi ją. I Nowicka idzie powoli jak zaczarowana, w kręgu światła, które sunie razem z nią. Wyszła przed pierwsze rzędy i stanęła. Światło też. Magda jest przerażona, widać to wyraźnie. Rozkłada bezradnie ręce, jakby chciała tłumaczyć, że przecież nie może zaśpiewać.

83

Okoński aciska ęby. „Niech się d i e j e, co chce! Nie wiem, co będ i e dalej, ale oświetlę go. Niech wszyscy zobaczą...” - podejmuje decyzję. Już! Skręt reflektora. I nagle cisza. Sekunda, dwie... Burza oklasków! Witek nie wierzy własnym oczom: na scenie, tuż przed kurtyną, oświetlona reflektorem leży gitara Rosiaka. „No, zrozumiałeś... - szepcze do siebie Okoński i oddycha z ulgą. - Dobrze, że zrozumiałeś!”

Teraz wszystko się dzieje błyskawicznie. Magda podbiega do sceny, sięga po gitarę. Nie zakłada jej nawet na szyję, odwraca się do sali uśmiechnięta, zaczyna śpiewać. Tu sprzed sceny. Od razu, bez żadnych wstępów, jakby nagle zaczęło jej się bardzo śpieszyć do tej piosenki. Tylko ci z pierwszych rzędów widzą, że dziewczyna ma łzy na policzkach. Może chce ukryć te łzy albo trudno jej ustać w miejscu, a może w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Nowicka śpiewa przechodząc powoli wzdłuż pierwszego rzędu, potem zawraca... Reflektor prowadzi ją wahadłowym ruchem. „Dobrze, że wyregulowałem te śruby, to niezły reflektor...” - przychodzi nagle do głowy Okońskiemu i rozśmiesza go ta myśl.

Magda śpiewa zupełnie inaczej niż zwykle, w innym rytmie. Nigdy jeszcze tak nie śpiewała. I dobrze wszystkim znana ballada staje się jakby inną piosenką, ładniejszą.

Posłuchajcie tej piosenki, posłuchajcie, jeśli chcecie... Słowa proste, wszystkim znane są od dawna.

Opowiedział dzięcioł sowie, a ja tobie ją opowiem. Zaśpiewamy potem razem przy gitarze...

W pewnym mieście jest ulica kasztanami wysadzana. Przy ulicy stoi szkoła, jakich

tysiąc.

A w tej szkole jest drużyna, drugiej takiej nigdzie nie ma.

84

Ona wszystkim do przyjaźni drogę wskaże.

Po przedstawieniu kierownik szkoły pochwalił drużynę:

- Bardzo pięknie wam to poszło! Nawet się nie spodziewałem...

- A najlepszy był ten pomysł z gitarą! - dodał przewodniczący komitetu rodzicielskiego. - Wiecie, w pewnym momencie myślałem, że coś wam nie gra, że coś się kładzie... A tu nagle ta oświetlona gitara na pustej scenie! To było świetne. Kto to wymyślił?

- Reżyser, oczywiście! - odpowiedział drużynowy i mrugnął nieznacznie do swoich.

- Jasne, że reżyser! - dodał szybko Sikora. - Druh przyboczny, Kotlarek...

- To zdolny człowiek - wtrącił Pustecki poważnie. A Zośka powiedziała:

- I ma ciotkę w telewizji! Prawdziwą ciotkę, przedwojenną! Ciotka Kotlarka wybuchnęła śmiechem, a on sam zrobił głupią

minę i, nie wiadomo dlaczego, uklonił się grzecznie.

- Co z ojcem Magdy? - spytał Okoński drużynowego, kiedy goście posali się ubierać. - I co zrobiłeś z tym jej bratem?

- Przyszła dzisiaj depesza z Koszalina, nie jest tak źle, jak się zdawało.

Ojciec Magdy ma złamaną nogę, no i jest potłuczony, jak po wypadku. Ale matka Nowickiej już jutro wraca... Brata podrzuciłem sąsiadce. Powiedziałem, żeby go pobawiła godzinę, to się z nią ożenię...

- No, Okoń! Ale wasza przyjaźń się skończyła... - powiedział Pustecki. - To znaczy twoja przyjaźń z Rosiakiem. Prawda?

- Nie wiem...

- A może dopiero dziś się naprawdę zaczyna? - mruknął drużynowy. - Kto to może wiedzieć?

85

?

li

? KJ lii*- "X----- w *

?^zieli. Nie dlatego, żeby ktokolwiek 2o, ale z kilku innych powodów. W

poniedziałek miejcie się na

(A świadkach: „ja tę dziewiątą sko

- zameldował klasie w sobotę

Poldek nosił fatalne imię Apolonii

i Mączka całkowicie tłumaczyło ji

Żeby skończyć naszą dziewiątą,

drugi skończyć ósmą i siódmą! - <

' oceniam go na więcej niż sześć irtgo...

gdzie mu ten kaktus ma w -wał się Gajda, który mlal SC1- głównie w drobiazgach '

bo pytanie było głupie. . posnąć kaktus? wiadomo, n ^"???^ odnogo na

'• *c?°h akademie" Było b Z l Indywiduum, nadają,

»?????^?. sw>jej klasy

"? Wjdoc2n * ?? ?????? ^

1 °biektl °Wa §ramca zos kt^nie ?2??2 ujmuj

4 .: . '/'

? ? nie będzie zwykły ani łatwy dzień, wszyscy o tym z góry wiedzieli. Nie dlatego, żeby ktokolwiek przewidywał to, co się wydarzyło, ale z kilku innych powodów.

- W poniedziałek miejcie się na baczności. Pawian powiedział przy świadkach: „ja tę dziewiątą skończę albo mi tu kaktus wyrośnie!” - zameldował klasie w sobotę Poldek Mączka.

Poldek nosił fatalne imię Apoloniusz, co w zestawieniu z nazwiskiem Mączka całkowicie tłumaczyło jego skłonność do panikarstwa.

- Żeby skończyć naszą dziewiątą, Pawian musiałby najpierw po raz drugi skończyć ósmą i siódmą! - skwitował doniesienie Balcerek.

- Nie oceniam go na więcej niż sześć klas wykształcenia podstawowego...

- A gdzie mu ten kaktus ma wyrosnąć, jeśli nas nie skończy?

- zainteresował się Gajda, który miał wprost niebywale zamiłowanie do ścisłości, głównie w drobiazgach. Nie doczekał się oczywiście odpowiedzi, bo pytanie było głupie. Niby gdzie takiemu Pawianowi może wyrosnąć kaktus? wiadomo, na dłoni. Kim był Pawian? Trudno go nazwać intelektualistą, choć pisał wiersze na szkolne akademie. Było to, z punktu widzenia dziewiątej klasy, mściwe indywidualum, nadające się najwyżej do tego, żeby Jabłoński - w imieniu swojej klasy - robił na nim doświadczenia, mające na celu ustalenie granicy wytrzymałości ludzkich nerwów na zgrywy. Widocznie owa granica została przekroczona, stąd groźby Pawiana. Obiektywnie rzecz ujmując, Pawian był już drugi rok

89

uczniem konkurencyjnej klasy dziewiątej b, miał metr osiemdziesiąt wzrostu i chodził w kaloszach.

- Pawian może nam nakichać! - próbował zignorować ostrzeżenie Mączki Edek Jabłoński, ale klasa postanowiła, na wszelki wypadek, uważać.

Drugim powodem przewidywanej niezwykłości poniedziałku było uzasadnione podejrzenie, że wreszcie rozegra się finał dramatycznej afery z obrazami. Była to afera niebywała, nie tylko jak na stosunki szkolne, ale w ogóle. Tylko obawie dyrektora przed skandalem w mieście należy zawdzięczać, że nie wezwano na pomoc milicji, choć były próby nieoficjalnego wykorzystania doświadczeń służbowych kapitana MO, Wiśniewskiego. Kapitan Wiśniewski pełnił funkcję wiceprzewodniczącego komitetu rodzicielskiego i szczerze przejął się aferą. Ale nic nie mógł zdziałać, jako że jego syn, dwojga dostojnych imion Wojciech Antoni, był uczniem klasy dziewiątej. O każdym więc planowanym posunięciu władz szkolnych dziewiąta wiedziała dzień wcześniej. Natomiast o tym, co wymyśli dziewiąta, nikt nigdy nie wiedział.

Tenże Wojciech Antoni w sobotę złożył klasie oświadczenie:

- Jak pewnie pamiętacie od początku Byłem przeciwny waszym wygłupom z obrazami...

- Ale brałeś w tym udział! - krzyknęła Grzybowska.

- Nie przerywaj! Oczywiście, że brałem. Nie o to chodzi. Byłem i jestem przeciwny w dalszym ciągu. Ale już niedługo będę przeciwny bo teraz wszystko bardzo szybko się skończy, i to skończy się źle. Na poniedziałek i na wtorek zaplanowane jest śledztwo we wszystkich klasach z udziałem rodziców, którzy będą przesłuchiwać...

- O! Z lampami? - ucieszył się Pilarski. Z jakimi znowu lampami?

- Na filmach przesłuchują zawsze z lampami. Oświetlają podejrzanych lampą, tamci mrugają...

- Jak cię palnę, to nawet nie zdążysz mrugnąć! - zdenerwował się Wojciech Antoni, choć był to chłopak na ogół opanowany. - I nie gadaj głupstw, Pilarski, bo sytuacja robi się poważna.

- Może więc wyjąć wszystkie obrazy i oddać? - zaproponowała Owczarkówna. - Szczerze mówiąc, to już jest trochę nudne, nie? Za długo trwa...

90

- Nudne to jest, ale idzie o honor!

Do chrzantu taki honor. Ja już nawet zapomniałem, o co w ogóle poszło. Niby o księcia Józefa, ale zaczęło się chyba od tej dziewczyny, która leży. Tak czy nie?

- zastanawiał się Kasprzyk.

- Jaka znowu dziewczyna leży? Co ty pleciesz?

- On myśli o Chełmońskim. „Babie lato”. Rzeczywiście dziewczyna leży... Ale ostatecznie poszło o woły!

- Przecież w ogóle chyba nie mamy wołów...

- Mamy woły! - stwierdził autorytatywnie Mączka. - Obraz Ruszczyca.... „Orka”. Bardzo ładne woły. I skiby ziemi...

- Przecież nie powiecie mi, że całą aferę zorganizowaliśmy dla głupich wołów.

Poszło o księcia Józefa!

Trudno było ustalić przyczynę, nikt już dobrze nie pamiętał, jak to było. Ale tak naprawdę to poszło o konia. Bo księżę Józef Poniatowski siedział na tym koniu trochę bokiem i nie bardzo się malarzowi udał. A koń był wspaniały, drugiego takiego nie miała żadna klasa.

Reprodukcja z księciem na koniu wisiała w dziewiątej już wtedy, kiedy dziewiąta była jeszcze siódmą. Podczas przeprowadzki do ósmej konia wzięto oczywiście z sobą. Wreszcie obraz, razem z klasą, zdał do dziewiątej. I nagle, w połowie roku, odebrano klasie salę lekcyjną. Przeprowadzili się na większość godzin do pracowni biologicznej, a niektóre lekcje mieli w bibliotece. Trudno, dziewiąta nawet nie szemrała. Ale konia z księciem przeniosła sobie do pracowni biologicznej.

Wywołało to energiczny sprzeciw nauczycielki biologii, która nie chciała zgodzić się z klasą, że co prawda księżę nie, ale koń na pewno jest eksponatem biologicznym.

- Ani Poniatowski, ani jego koń nie będą tu wisieć! Dziewiąta odżałowała konia i zamieniła go na Chełmońskiego.

Potem na Ruszczyca. Wreszcie na Wyspiańskiego. Oczywiście zabierano te obrazy innym klasom. Każda reprodukcja była jednak natychmiast usuwana przez nauczycielkę biologii, która powiesiła na ścianie olbrzymią planszę pod tytułem „Narządy wewnętrzne człowieka”. A obok, w gablotce, spreparowaną żabę i zaskrońca.

- Mdl mi od tych bebeczków! - skarżyła się Hanka Strachowska. - Ja już nie mogę. Ostatecznie kościotrup w kącie niech sobie

91

stoi. I tak niewiele się różni od Pilarskiego, a może nawet jest od niego cięższy... Ale tych flaków nie zniosę!

Hankę mdliło, klasę denerwowało, a Jabłońskiego bolało serce, że Hankę mdli.

Przyniósł z domu młotek, odebrał siódmej klasie księcia, wbił olbrzymi gwóźdź w okolicach przeloty bohatera planszy „Narządy wewnętrzne człowieka” i zawiesił na nim reprodukcję. Flaki były przykryte, a koń księcia Józefa swoim skokiem w nurty Elstery radował oczy dziewiątej jak dawniej. Ale przed każdą lekcją biologii księżę musiał schodzić do podziemia, czyli pod szafę.

I właśnie konieczność tych wiecznych manipulacji z księciem poddała dziewiątej pomysł akcji odwetowej. Pierwszego dnia ogłocoło z reprodukcji klasę jedenastą,

której wychowawczynią była nauczycielka biologii. Obrazy schowano w tejsze jedenastej pod podwyższeniem z desek, na którym stał stolik nauczyciela. Był to pomysł Balcerka, który dzięki temu wysunął się zdecydowanie na czoło klasy. Zdystansował nawet Jabłońskiego, o co tamten zresztą nie miał żalu, jako że obydwaj byli z piekła rodem.

Powoli zdejmowanie ze ścian i ukrywanie co ciekawszych obrazów weszło klasie dziewiętej w krew. Którą reprodukcję chcieli mieć u siebie, tę właśnie chowali pod deski w różnych klasach. Bo przecież gwó d w przelyku starczał im tylko dla księcia Józefa i konia. Skoro więc sami nie mogą mieć obrazu, niech go inni nie mają!

Afera z obrazami trzymała całą szkołę w stałym napięciu, bo nigdy nie było wiadomo, co zginie, a co się odnajdzie. Przychodził na przykład do szkoły taki Pilarski albo Mączka, czy wreszcie Wojciech Antoni i mówił:

- Znudził mi się Wyspiański. Dzisiaj „kupuję” Matejkę!

Po lekcjach wyjmował ze schowka w szóstej Wyspiańskiego i wieształ, powiedzmy, w ósmej, a Matejko z dziesiątej wędrował pod dechy w piątej. Proste. Tylko że po jakimś czasie nikt już nie pamiętał, gdzie co jest schowane. Za to na malarstwie ojczystym klasa dziewiąta znała się już doskonale.

Ostrzeżenie Wojciecha Antoniego o poniedziałkowym śledztwie nie dodało dziewiętej dobrego humoru, przeciwnie, poniedziałek malował się w coraz ciemniejszych barwach.

Trzecim powodem sobotniego drżenia przed poniedziałkowym
92

wysoce prawdopodobnym trzęsieniem ziemi była wiadomość o powrocie do zdrowia pani Laskowskiej, która uczyła historii. Dość długo chorowała i mało kto miał z historii stopień. A jeśli nawet miał, to raczej taki, że wołałby mieć inny.

Edek Jabłoński głosił co prawda teorię, że nauczyciel wracający do szkoły po miesiącu choroby nigdy na pierwszej lekcji nie pyta na stopnie, tylko pyta po prostu, co słyhać, ale klasa uważała, że pani Laskowska może spytać, co słyhać, na przykład w siedemnastym wieku i wtedy trudno się będzie wykręcić zwyczajnymi plotkami.

Teoria teorią, Jabłoński Jabłońskim, choć był to bezspornie wysokiej rangi specjalista w dziedzinie psychologicznego rozszyfrowywania nauczycieli, życie jednak rządziło się swoimi prawami i dziewiąta wołała dmuchać na zimne. Toteż w poniedziałek, parę mmut przed rozpoczęciem pierwszej lekcji, byli już prawie wszyscy. I każdy, ledwie wpadł do klasy, łapał książkę do historii albo zeszyt z notatkami, siadał na swoim miejscu i usiłował jeszcze to i owo powtórzyć.

Tylko Balcerka nie było, ale nikogo przecież nie mogło to dziwić, bo Balcerek mieszkał naprzeciw szkoły, więc zawsze się spó niał. Na całym świecie, jak wiadomo, najwcześniej przychodzą do szkoły ci, którzy najdalej mieszkają. Gdyby Balcerkowi zapisywano wszystkie spó nienia, już dawno trzeba by go było wyrzucić ze szkoły albo zwrócić się do rady narodowej z uprzejmą prośbą o przesiedlenie rodziny Balcerkow gdzieś na peryferie miasta. Miał on jednak swoje metody na skuteczne ukrywanie spó nień.

Wybiegał z domu na d wiek drugiego dzwonka, bez teczki, bez palta i w kapciach, niezależnie od pory roku. Dwoma susami pokonywał ulicę, przelatywał po schodach jak rakietka i wsuwał się miękko do klasy, z nieśmiałym uśmiechem, który miał znaczyć: ja tu juz od dawna jestem, tylko poszedłem siusiu...

A kiedy był znacznie bardziej spó niony, to znaczy jeśli na d wiek pierwszego dzwonka dopiero zrywał się z łóżka, wtedy stosował inną metodę, równie dobrą. Przebiegając korytarzem zahaczał w locie o pokoik wo nego, porywał kredę, cyrkiel, jakąś mapę albo co było pod ręką i wchodził do klasy. Minę miał wtedy

poważną, wręcz zatroskaną, co miało znaczyć: jestem dyżurnym i wszystko dziś na mojej biednej głowie.

93

Kto inny sto razy już by się sypnął i ośmieszył, ale Balcerek był wyjątkowym artystą.

Na Balcerka nie było sposobu, ale Balcerek znał sposoby na wszystko i na wszystkich. To on podciągał dziewiątą na coraz wyższy poziom, aż wreszcie zdobyła opinię klasy zupełnie wyjątkowej. Nikt tu się z nikim nie gniewał dłużej niż przez jedną przerwę, nikt na nikogo nie skarżył i nikt nie miał nigdy więcej niż dwie dwójki na okres. Z tego zawsze jedna była z historii, od pani Laskowskiej.

Cała szkoła czuła respekt wobec dziewiątej, choć klasa właściwie nie chuliganiła. Miała tylko niebywałe pomysły i była nieprawdopodobnie zgrana. Jak orkiestra symfoniczna Polskiego Radia. Dyrygował Balcerek, czasem w jego zastępstwie Jabłoński, ale on nie miał już tyle fantazji i sprytu. Jednak do psychologicznych doświadczeń nad wytrzymałością ludzkich nerwów, głównie nerwów Pawiana, Jabłoński nadawał się nieźle.

Dziewiąta b, do której chodził Pawian, w ogóle się nie umywała do swojej słynnej imienniczki. Była to klasa nieco tępa i kłótliva. Nawet nauczyciele mówili o niej jakby z lekceważeniem: tamta druga dziewiąta. Bo nauczyciele, tak naprawdę, bardzo lubią klasy inteligentne, zgrane i z fantazją, choćby nawet mieli z nimi czasem trochę kłopotu. Z klasą Balcerka kłopoty były częste, ale nigdy nie wynikały z banalnych powodów.

Kiedy na przykład w tłusty czwartek w całej szkole uczniowie dla kawału posmarowali tablice tłuszczem, w tej klasie tablica była czysta jak łąza. Zdumionemu dyrektorowi klasa wyjaśniła skromnie, że po prostu nie jest to dowcip godny dziewiątej. Ale pomysł Balcerka, żeby wpuścić na scenę podczas uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego tresowanego psa, klasa uznała za odpowiedni i pies Poldka Mączki przez dłuższą chwilę - na sygnały ręką, które dawał mu właściciel - podskakiwał do góry i udawał, że łapie muchę. Było to podczas przemówienia dyrektora, który wreszcie nie wytrzymał i zaczął się śmiać. A pies zawył przeciągle i uciekł przez otwarte uprzednio w tym celu okno. Na wiadomość, że kawał urządziła dziewiąta, dyrektor darował winę. Był to rewanż honorowy za czystą tablicę w tłusty czwartek.

Dziewiąta wyróżniała się jeszcze jednym: tylko w tej klasie panowała całkowita zgoda między dziewczętami i chłopcami. Zawsze byli

94

jednomyslni. Może dlatego, że nawet najbardziej spokojna i nieśmiała dziewczyna z dziewiątej - Fela Gawlik, mogłaby z powodzeniem być prowodyrem rozmaitych drak w takiej na przykład jedenastej.

Taka to była klasa dziewiąta. Miała niezwykle pomysły, wyczyniała w szkole najdziwsze hece, a kiedy groziło jej niebezpieczeństwo, umiała się solidarnie bronić, jak pluton komandosów. W chwilach wolnych od kawałów dziewiąta uczyła się, i to nieźle. Tylko z historią były wieczne kłopoty i spośród nauczycieli, tak naprawdę, tylko pani Laskowska nie cierpiała tej klasy. Wszyscy o tym wiedzieli, nawet dyrektor. Bo pani Laskowska była wychowawczynią „tamtej drugiej dziewiątej”, czyli dziewiątej b. A Pawian był jej wnukiem.

Teraz już wicie wystarczająco dużo, choć oczywiście nie wszystko. Nie wszystko, bo o dziewiątej mógłbym opowiadać dniami i nocami. Wicie już jednak wystarczająco dużo, żeby ze zdumieniem śledzić dziwne rzeczy, jakie zaczęły się dziać w dziewiątej od owego czarnego poniedziałku, kiedy to za pięć ósma byli już w klasie wszyscy prócz Balcerka, a dzień zapowiadał się fatalnie, grożąc

zemstą Pawiana, śledztwem w sprawie afery z obrazami oraz powrotem do szkoły, po dłuższej chorobie, pani Laskowskiej.

Nie muszę teraz już chyba dodawać, że i ja chodziłem do tej właśnie dziewiątej, ale postaram się być obiektywny do końca. Od siódmej klasy siedziałem z Balcerkiem w jednej ławce i zawsze dzieliliśmy się śniadaniem, uśmiechem i wszystkimi zmartwieniami, z wyjątkiem tego jednego, największego zmartwienia, którym Balcerk nie chciał się podzielić z nikim.

Jest więc poniedziałek. Rozlega się pierwszy dzwonek, jeszcze dziś go słyszę... Dziewiąta czekała spokojnie. Rozmawiano półgłosem, prawie jak na lekcji, i wszyscy znajdowali się na swoich miejscach. Nie ze strachu, było to bowiem uczucie całkowicie obce klasie dziewiątej. Po prostu tak nakazywał rozsądek. Drugi dzwonek. Na korytarzu powoli ucichł gwar. W całej szkole

95

rozpoczęły się lekcje. Pani Laskowska jednak nie przychodziła i wciąż nie było Balcerka.

- Może przedłużono jej zwolnienie lekarskie i w ogóle nie przyjdzie - poddała myśl Grzybowska.

- A co jej właściwie było? - spytał Pilarski. - Nikt nie wie? Nikt nie wiedział. Minęło jeszcze kilka minut i Fela Gawlik

zapropozowała:

- Pójdę zobaczyć, co słychać... Jestem dziś dyżurną. Wróciła po dobrym kwadransie z teczką Balcerka pod pachą.

- No, co się stało? - zaniepokoił się Jabłoński.

- Jeszcze nic nie wiadomo. Balcerk siedzi w pokoju woźnego i trzyma w ręce mapę rozbiorów Polski, na wszelki wypadek... Więc wzięłam jego teczkę, żeby mógł uchodzić za dyżurnego!

- Ale po co on tam siedzi? - dopytywał się Gajda. - Brzuch go boli, czy jak?

- Z pokoju woźnego słychać wszystko, o czym się mówi w gabinecie dyrektora! - wyjaśnił spokojnie Wojciech Antoni i spojrział na Gajdę z ciężkim westchnieniem.

- Tobie, bracie, brak podstawowych wiadomości i orientacji w terenie...

- Fe! Brzydki Balcerk... On pewnie podsłuchuje, niegrzeczny!

- powiedziała Grzybowska tonem oburzonej guwernantki i wszyscy się roześmieli.

Po kilku minutach przyszedł do klasy Balcerk. Był jakiś dziwnie poważny, jakby go rzeczywiście brzuch bolał. Nie reagował na żarty, usiadł na swoim miejscu i zabrał się do historii. Przedtem tylko wyjaśnił sucho:

- Tej lekcji już nie będzie, ale na drugą godzinę pani Laskowska przyjdzie...

Nie pytano go o nic. Skoro sam nie mówi, to znaczy, że niczego specjalnego się nie dowiedział. Dopiero tuż przed przerwą zaczął go Pilarski:

- Myślałem, że tam u dyrektora jest jakieś zebranie w sprawie obrazów...

- Dobrze, żemi przypomniaws! Chciałem wam zaproponować, żebyśmy dziś wyjaśnili pani Laskowskiej całą sprawę tych obrazów...

- powiedział Balcerk cicho. - Co o tym myślicie?

96

- Zwariowałeś? Chłopaki! - krzyknął Pilarski. - Słyszycie, co on plecie? Chce, żebyśmy się przyznali Laskowskiej do afery z obrazami!

W klasie zapadła cisza. A w sekundę później wybuchnął niesamowity wrzask. Mówili, krzyczeli, jeden przez drugiego:

- On jest chyba chory!

- Dlaczego właśnie Laskowskiej? Bo nie lubi naszej klasy, tak? Przecież to najlepszy sposób, żeby nas wszystkich wyleli ze szkoły!

- W ogóle po co się przyznawać? Dopóki się nie przyznamy, nic nam absolutnie nie grozi, bo niczego nie udowodnią...

- Po prostu wariat! Idź do lekarza!
- Balcerek, opanuj się, wypij łyk zimnej wody!
- Rany Julek, co się z nim dzieje?

Dziewiąta otoczyła Balcerka. Nie byli wcale źli na niego. zaproponował coś tak absurdalnego, że klasa była po prostu wstrząśnięta. To tak, jakby piorun strzelił w kałamarz i krzyknął: „a kuku!” Czyli coś, co się nie mieści w głowie.

- Spokój! - powiedział wreszcie Balcerek. - Myślę, że mam prawo coś zaproponować, bo w końcu to ja wymyśliłem całą tę aferę. Tak, czy nie?
- I co proponujesz? - spytała Owczarkówna.

- Po widziałem już...

- Słuchaj, Balcerek... - próbował łagodzić Poldek Mączka. - Oczywiście, że możemy zakończyć dziś sprawę obrazów. Można to nawet zrobić efektownie. Podrzuci się woźnemu kartkę z wiadomością, że obrazy pochowane są we wszystkich klasach pod podwyższeniem katedry. Będziemy mieli dodatkową zabawę podczas dużej przerwy, kiedy tamci zaczną swoje obrazy wyciągać... No, zgoda?

Wszyscy czekali w napięciu. I wtedy Balcerek powiedział coś jeszcze bardziej bzdurnego niż przedtem:

- Nie, tu nie chodzi o to, jak wybrnąć z całej tej historii. Ja chciałem, żebyśmy Laskowskiej zrobili... prezent. No, taki upominek, właśnie dziś! Że my sami się przyznajemy...

- No, nie! To już przechodzi ludzkie pojęcie! - jęknął Pilarski i wszyscy pokiwali smutnie głowami nad fatalnym stanem umysłu Balcerka.

- Słuchaj! Tylko pamiętaj o jednym: dla swoich idiotycznych
7 - Księżniczka i chłopcy

97

prezentów nie masz prawa narażać całej klasy. Jasne? - podsumował ostro Edek Jabłoński.

- Tak, narażać całej klasy nie mam prawa... - zgodził się dziwnie spokojnie Balcerek. Odsunął najbliższych stojących, usiadł i znowu zajął się swoją książką do historii.

Mogło się wydawać, że na tym koniec. Dziewiąta patrzyła na Balcerka więcej niż z niepokojem, ale nawet nie komentowano głośno zajścia, żeby nie budzić licha. Tak jak przy ciężko chorym nigdy nie mówi się o jego chorobie.

Kiedy rozległ się dzwonek ogłaszający przerwę, Balcerek zawołał Edka Jabłońskiego i paru chłopaków.

- Możecie coś dla mnie zrobić? - spytał.

- Oczywiście!

- Zwolnić cię z lekcji? Chcesz iść do domu?

- Trzeba ci coś załatwić?

- Masz jakieś kłopoty? Może trzeba kogoś nalać?

- Nie Zróbcie to dla mnie i dajcie już spokój Pawianowi...

- Co?

- Nic specjalnego. Zostawmy Pawiana od dziś w spokoju. Razem z jego głupimi wierszami, kaloszami i tępą miną... Zgoda?

- Znowu zaczyna... - mruknął Mączka. A do Balcerka: - Myślałem, że już ci przeszło, a ty swoje. Jak nie obrazy, to spokój Pawiana ma być prezentem dla Laskowskiej, tak?

- Właśnie. Ale mówię wyraźnie, zróbcie to dla mnie. Możecie? Popatrzeli po sobie.

- Jak ci to sprawi przyjemność i jeśli cię to ma wyleczyć - powiedział z naciskiem Wojciech Antoni, uśmiechając się do Balcerka - to ja mogę Pawiana

nawet poczęstować landrynkami! Ale i tak ich ode mnie nie weźmie, bo będzie myślał, że gumowe...

- Balcerek! A może ty szykujesz jakąś większą drakę? - zaczął się głośno zastanawiać Gajda. - Wtedy bym mógł zrozumieć, że warto zrezygnować z mniejszych kawałów, żeby się udał większy!

- No więc możesz tak rozumieć! - odpowiedział Balcerek. A do chłopców. - Zgoda? Z Pawianem spokój? Jabłoński, co ty na to? To był przecież twój resort...

- Jeśli rzeczywiście masz jakiś inny plan... I jeśli to konieczne... Zgoda!

Mogę przerwać doświadczenia z Pawianem. Jeszcze tylko zagramy sobie dziś na korytarzu w nożną jego kaloszami...

98

- Nie. Już nie zagrać, koniec. Idź teraz, Poldek, do Pawiana i zakomunikuj mu to wszystko - zarządził Balcerek. - Tylko jeśli ci odpowie, żeśmy się wystraszyli albo coś w tym stylu, to nie daj się sprowokować i nie rąbnij go, dobrze?

- Spróbuję... - powiedział ponuro Mączka. - Ale trudno będzie zachować spokój!

- Powiedz to wszystko Pawianowi tak słodko, żeby go ciarki przeszły! - doradził Jabłoński. - Bo on przecież nie uwierzy, że naprawdę rezygnujemy z wychowania go na człowieka...

Balcerek pomyślał chwilę i zawołał Felę Gawlik.

- Fela, idź z Poldkiem do Pawiana. On się kocha w tobie, więc jak ty tam będziesz, to powinien uwierzyć...

- Każecie, to pójde... - zgodziła się Fela. - Chociaż patrzeć na jego gębę nie mogę!

Poszli. Wrócili dość szybko. Fela miała pogrzebową minę.

- Jab było? - spytał Jabłoński. Zaczęła go bawić ta cała historia, innych też.

- Pawian o mało nie zemdlał. Przewrócił parę razy oczami i powiedział, że on nie zrezygnuje z zemsty za to, co było... - relacjonował Mączka. - Ale potem uściśnął dłoń Feli i przyrzekł, że napisze dla niej wiersz!

Wojciech Antoni popatrzył na Felę ze współczuciem i mruknął z wyrzutem do Balcerka:

- No i masz... Biedna dziewczyna. Pierwsza ofiara twoich głupich pomysłów...

W złą godzinę powiedział te słowa: pierwsza ofiara. W bardzo złą. Następne ofiary przyszły nadspodziewanie szybko.

Druga lekcja zaczęła się punktualnie, pani Laskowska weszła do sali równocześnie z dzwonkiem. Była w ciemnych okularach i wyglądała chyba jeszcze starzej niż dawniej, przed chorobą. Dziewiąta wstała, a Fela Gawlik, jako dyżurna, wygłosiła kurtuazyjne przemówienie:

- Dzień dobry pani! Cieszymy się, że już pani wyzdrowiała i... w ogóle...

- Siadajcie! - powiedziała nauczycielka. - Niezupelnie wyzdrowiałam, ale miejmy nadzieję, że jakoś do wakacji wytrzymam...

- To tylko jeden miesiąc! - odezwał się głośno Balcerek, jakby chciał kogoś pocieszyć, podtrzymać na duchu.

99

- Rzeczywiście... - mruknęła Grzybowska. - Byle do lata... Pani Laskowska siedziała już przy stoliku. Podniosła teraz głowę i jakby zamyśliła się na moment.

- Byle do lata... - powtórzyła. - Byle do lata! To okropne... Dziewiąta

popatrzyła po sobie: co niby jest okropne? Lato? Ale

nie było czasu zastanawiać się nad tym, bo nauczycielka, teraz już bez żadnych wstępów, zaczęła pytać na stopnie.

Pomału robiło się coraz bardziej gorąco, ale szło nieźle. Klasa była dobrze

przygotowana, jak nigdy. Pani Laskowska pytała według listy.

- Czwórka, piątka, trójka, piątka... - podsumowała każdą odpowiedź tylko jednym słowem i wpisywała stopień do dziennika.

Pyta również- z materiału, którego nie przerabialiśmy. Chce nas uziemnić! A ty, wariacie, chciałeś jej robić jakieś prezenty! - napisał na kartce Jabłoński i podał ją Balcerkowi. Ale Balcerk pozostawił list bez odpowiedzi, po prostu przeczytał i podarł.

Sypały się stopnie. Padały szybkie pytania, ale na szczęście wszyscy dawali sobie z nimi jakoś radę, dopóki nie doszło do Owczar-kówny. I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Dziewczynie wyraźnie nie szło, ale nie to, oczywiście, było dziwne. Poplątała wszystko już w pierwszych zdaniach i utknęła, spoglądając bezradnie na Pilarskiego, który siedział obok niej. Wtedy Pilarski zaryzykował. Otworzył książkę do historii na odpowiedniej stronie, przysunął ją do Owczarkówny i zaczął pokazywać palcem, które zdania powinna czytać. A ona czytała.

- Masz trójkę! - przerwała wreszcie pani Laskowska. - Kto tam jest następny? Pilarski!

Zachęcony powodzeniem sąsiadki, nie zadawał sobie nawet trudu, żeby rozpocząć odpowiedź własnymi słowami. Czytał z książki zdanie po zdaniu, robiąc tylko pauzy i zamieniając czasem jakieś wyrażenie. Pani Laskowska słuchała spokojnie, patrząc w jego stronę. Nie reagowała zupełnie, choć przecież widać było wyraźnie, że Pilarski po prostu czyta.

- Czwórka! - powiedziała, kiedy skończył. - Teraz odpowiada Sikora...

Szepty, jakie od dłuższej chwili słychać było w klasie, przerodziły się w gorączkowe rozmowy prowadzone półgłosem. Dziewięta szu-
100

miała, rósł gwar. Nikt nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Dlaczego nauczycielka nie reagowała, kiedy ostatni odpowiadający beczelnie czytali z książki? I jeszcze daje Pilarskiemu czwórkę? Gwar zagłuszał, odpowiedź Sikory, który aż przerwał kilka razy, choć to najlepszy w klasie historyk.

- Nie przygotowałeś się, Sikora! - odezwała się pani Laskowska. - Przecież słyszę, że podpowiadają ci... Proszę o spokój!

Dziewięta ucichła, ale ze zdumienia. Nikt przecież Sikorze nie podpowiadał, bo po co? Ten szum to były rozmowy o Pilarskim i książce. A zresztą Sikora siedzi sam, w ostatniej ławce. Dwa miejsca przed nim są wolne, nikt mu nawet nie może podpowiedzieć, przecież to widać! Co się dzisiaj z nią dzieje?

- Siadaj, Sikora. Trójka. Za to, że podpowiadali... Dzwonek, koniec lekcji.

Pani Laskowska* zamknęła dziennik,

wstała i powoli skierowała się w stronę drzwi. Ledwie zamknęły się za nią, w klasie jakby wybuchła bomba.

- Ciszej, ciszej! - wrzeszczał Jabłoński. - Jest tylko jedno wytłumaczenie tego wszystkiego...

Uspokoił się nieco.

- Jakie? - spytał Wojciech Antoni. I wtedy odezwał się Balcerk.

- Nie musicie się domyślać. Ja wiem. Ona nie widzi...

Kilka sekund zupełnej ciszy, w której padają spokojne słowa Balcerka. Dziewięta, skupiona ciasno wokół niego, słuchała w milczeniu.

- Spóźniłem się na pierwszą lekcję, jak zwykle. Wpadłem do ? pokoju wóznego po mapę, żeby z czymś wejść do klasy. Stamtąd usłyszałem rozmowę dyrektora z panią Laskowską. Przekonywał ją, że nie powinna podejmować pracy, że nie da sobie rady... zwłaszcza

z naszą klasą. Ale ona prosiła, że musi jakoś dobrać do wakacji. Tego miesiąca

brak jej do emerytury...

- Przecież na pewno by jej ten miesiąc zaliczyli... - powiedziała Grzybowska. - A zresztą chyba teraz ma prawo do renty inwalidzkiej?

- Nie wiem. Powtarzam to, co usłyszałem... Może po prostu chce uczyć do końca? Nie rozumiesz tego? I dyrektor ustąpił. Może mu jej było żal? Ona trochę widzi, tuż przed sobą... Tak mówiła.

101

- Co to znaczy: tuż przed sobą? pół metra, metr? - spytał Jabłoński. - Właśnie to mnie zastanowiło pod koniec lekcji. Jak daleko ona widzi?

- Nie wiem. Czy to takie ważne?

- No pewnie, że ważne! Od tego zależą nasze stopnie z historii na koniec roku!

- powiedział ktoś. Ale nikt się nie roześmiał. Patrzyli na Balcerka.

- Nie będzie już podpowiadania na historii. Ani czytania odpowiedzi z książki. Od dziś do wakacji tego u nas nie będzie... - mówił Balcerek. - Jasne?

- No, no... Ty nie tylko zwariowałeś, ale jeszcze grozisz, tak? Coraz lepiej. A kto nam zabroni podpowiadać? Może ty? Jak to osiągniesz? - spytał ironicznie Jabłoński.

- Znajdę sposób... Zawsze znajdowałem, to i teraz znajdę. Bardzo prosty.

- Zobaczmy!

Zobaczmy... - powiedział Balcerek.

Niepotrzebnie Jabłoński zaostrzył całą sprawę. Pewnie nawet nie chciał, ale tak wyszło. Upór na upór. Choć tak naprawdę to nikt nie wierzył, że Balcerek może grozić zupełnie serio. I to grozić całej klasie.

Afera z obrazami w tej sytuacji przestała kogokolwiek w dziewiątej interesować.

Jeszcze tego samego dnia załatwił ją z własnej inicjatywy Wojciech Antoni, nawet nie pytając nikogo o zdanie. Po prostu powiedział ojcu, gdzie obrazy są schowane, a potem już komitet rodzicielski wszystko jakoś zatuszował. Ostatecznie, obrazy się znalazły, zupełnie nie uszkodzone, a o to głównie chodziło. Nie było kradzieży, był tylko kawał. Może trochę denerwujący, ale kawał.

Ostatni kawał zorganizowany przez dziewiątą. Bo od tego poniedziałku dziewiąta przestała być niezwykłą klasą, jaką była dotychczas. Jakby pękło coś od środka i cały gmach przez tyle lat z trudem budowany zaczął się sypać. Klasa widziała, co się dzieje, i była tym przerażona, ale nikt nie potrafił już uratować dziewiątej.

Bo nie mogła istnieć bez Balcerka, wbrew niemu. I Balcerek przestał być sobą, tym dawnym Balcerkiem, od kiedy ustawił się przeciw klasie. To już był koniec dziewiątej, zgranej jak orkiestra, solidarnej jak

102

pluton komandosów w akcji. Smutny koniec, zupełnie bezsensowny, niepotrzebny. A może tak się tylko wydawało, że bezsensowny?

Wszystko, co zaczęło się dziać od tego poniedziałku, od biedy można by zrozumieć, gdyby to nie było właśnie w tej dziewiątej i gdyby to nie dotyczyło właśnie Balcerka. Przez ogień próbę przeszła dziewiąta już po dwóch dniach, na najbliższej historii. Przegrała tę próbę i nie wiadomo, kogo o to winić. Sypnęły się ofiary twardej, upartej decyzji Balcerka, podjętej przeciw klasie.

Na tej właśnie lekcji historii Balcerek wstawał pięć razy. I pięć razy, ze spokojną twarzą, głośno informował nauczycielkę:

- Tomeczyk jest słabo przygotowany. Podpowiada mu Gajda...

- Pilarski źle się zachowuje, rozprasza uwagę klasy...

- Więcek położył się na ostatniej ławce i śpi...

- Grzybowska odrabia matematykę. Konkretnie mówiąc, ściąg-

- Jabłoński czyta z książki...

Pięć razy pani Laskowska odpowiadała zmęczonym głosem:

- Dziękuję, że mi zwróciłeś na to uwagę... I w dzienniku przybyło pięć dwój. To już było więcej niż otwarta wojna. To była przecież zdrada. Ale bzdurą byłoby uważać, że Balcerek robi to, żeby się przypodobać nauczycielce. A jednak klasa nawet w ocenie Bacerka nie była już teraz solidarna. Zawsze dotąd jednomyślna opinia czterdziestu dziewcząt i chłopców była teraz rozbita na różne zdania. Balcerek nie był pierwszym lepszym, kogo można by wypchnąć na środek klasy i sprać, raz a porządnie. Albo bić do skutku, aż ustąpi. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Może gdzie indziej, wśród chuliganów, ale nie tu. I nie Balcerek. Przecież to on najbardziej przyczynił się do stworzenia ze zbieraniny, jaką jest każda klasa szkolna, wspaniałej, zgranej dziewiątej. To on nią zawsze dyrygował. Bez niego, przeciw niemu, dziewiąta była teraz zupełnie bezradna. Mijały dni, zbliżał się koniec roku. Nie znalazł się w klasie nikt, kto by krzyknął: „Dość! Skończmy z tym! Ratujmy klasę!” Najwyżej zadawano sobie pytania: - Dlaczego on to robi! Właśnie on, Balcerek? Co mu się stało? Z litości to robi, z serca? Co się stało z Balcerkiem? Dlaczego? Pytaniami nic nie można zdziałać. Nie należało w ogóle zadawać pytań.

103

Na jedno z nich Balcerek odpowiedział zupełnie zwyczajnie:

- Ona nie widzi, więc ja patrzę za nią. Nie, nie lubię pani Laskowskiej ani ona mnie. Cóż to ma do rzeczy?

Wszyscy odsunęli się od Balcerka, ale i odsunęli się również nawzajem od siebie. I z dziewiątej, w dniu zakończenia roku, nic już nie zostało. Nawet tabliczka na drzwiach klasy, bo przecież uczyli się w pracowni biologicznej i nie mieli tabliczki. Nawet nazwa, bo przecież zdali do dziesiątej. Ale do dziesiątej, lepiej lub gorzej, zdało czterdzieści pojedynczych uczennic i uczniów, a nie klasa. Dziewiąta przestała istnieć.

Chodziłem do tej klasy i mógłbym o niej długo opowiadać. Ale wy teraz czekacie pewnie tylko na jedną odpowiedź: dlaczego?

Siedziałem z Balcerkiem w jednej ławce, a właściwie przy jednym stoliku. Zawsze dzieliliśmy się śniadaniami, uśmiechem i kłopotami, z wyjątkiem tego największego zmartwienia, z wyjątkiem nieszczęścia, którym nie chciał się z nikim podzielić. Ja jeden z całej klasy przypadkiem je odkryłem. I wtedy znalazłem odpowiedź na pytanie: dlaczego?

Było to podczas tamtych właśnie wakacji. Pani Laskowska doczekała się ich, tak jak tego chciała, przy pracy, w szkole. Potem poszła na emeryturę. Balcerek po rozdaniu świadectw pożegnał się ze mną, tylko ze mną, i powiedział, że do dziesiątej będzie chodził gdzie indziej, tu już nie chce, nie może.

Były wakacje. Któregoś lipcowego dnia spotkałem Balcerka przypadkowo na ryku. Prowadził pod rękę jakąś kobietę, która uśmiechała się do niego i coś opowiadała. Kiedy mnie spostrzegł, zawahał się jakby przez moment, ale przystanął. Oboje przystanąli.

- Chwileczkę, mam! Spotkałem kolegę...

- Dzień dobry pani! - powiedziałem i podeszedłem bliżej.

A ona wyciągnęła rękę. Stałem zupełnie z boku, na skraju chodnika, a ona wyciągnęła rękę prosto przed siebie i czekała na moją dłoń. Wtedy zrozumiałem. Jego matka była niewidoma. Wtedy zrozumiałem wszystko.

Stałem bez ruchu, bez słowa. A ona wciąż trzymała wyciągniętą rękę. Nagle Balcerek chwycił jej dłoń.

104

7^
(?
???
N-
? N
?- Vi Xi
??.
3 W .?
?? ~
^5
•?4«
?» "ń- ć
?- U *2
•; 3 ?/)
<! ?- ?
? w ? S--0. 5 ^?S. S-S *??
? * * ? . *
Sc- ^- ? ? ^-
?? ? ,? ?
- «?? - ?
?? S'.
?-
N ?
? °-
? -?
? ?-
*=: *
>* t/i
|«
N
Se « ,
_oz fl ?
'S ??(? N 3 ^ °
??
Q §1 ? . S 8- 8 ^ «•
. c^> — Cj ? ??> ?- ?? *??
N
? c° -O
? P
?? O
Q ^
NI «-
| ??? g * I
3 ^5 ? ? n.- ??.
?- 2
0.0 Ł?
o S ? °
• ?? 2 <> ? . P.S.

? \? ?? przyjaźniłem się właściwie z nikiem. Czy ja wiem dlaczego? Klasa była

taka sobie, nienajgorsza, ale nic specjalnie ciekawego. Większość z nas mieszkała dość daleko od szkoły, więc zaraz po lekcjach szło się do domu. A potem nikt już z nikim raczej się nie spotykał. Zналиśmy się tylko tyle co z lekcji i przerw między nimi. Była niby drużyna harcerska, ale z naszej klasy mało kto do niej należał, przeważnie dziewczyny. Ja w każdym razie nie. Czasami myślałem, że dobrze byłoby mieć przyjaciela, ale takiego prawdziwego. Tylko skąd go wziąć? Nie można przecież tak zwyczajnie upatrzeć sobie kogoś, a potem podejść do niego i powiedzieć; „może byśmy się zaprzyjaźnili?” Bzdura. Irka przyszła do naszej klasy w zimie, jakoś tak od półrocza. Dziewczyny od pierwszego dnia jej nie lubiły. Trzymała się z boku, była jakaś dziwna. Właściwie chyba nieładna, chociaż czy ja wiem? Dość wysoka, z włosami spiętymi do tyłu... To uczesanie było ni w pięć, ni w dziewięć, ani to koński ogon, ani co innego. Dopiero jak ją kiedyś spotkałem w niedzielę na ulicy i zobaczyłem, że włosy ma spuszczone tak, że prawie zakrywają jej policzki, zrozumiałem, że to zaczesanie do tyłu było tylko dla szkoły, żeby się jej nie czapiano. Nasze miasto było niewielkie, ale nie żeby znowu jakaś dziura zabita deskami. Sporo było ładnych dziewcząt, o wiele lepiej ubranych od Irki, ale kiedy ona szła ulicą, to chłopcy, i nie tylko chłopcy, chyba częściej się za nią oglądali niż na tamtymi. Nie

109

zaczepiali jej jednak. Wiem, bo nieraz widziałem. Ona była inna, jakby nie bardzo do nas pasowała... A może ja sobie tylko tak wymyśliłem? Cóż dopiero w klasie! Tutaj to już na pewno nie pasowała. Albo też może klasa zupełnie nie pasowała do niej? Nieraz przez całą lekcję patrzyłem tylko na nią, po prostu nikogo innego nie widziałem, Tylko ją. A niby nie była wcale ładna. Taka Danka Kozłowska albo Walczakówna o niebo były ładniejsze. Może się mylę, ale wydaje mi się, że Heniek Malcherczyk też się tak wpatrywał w Irkę, jak ja. On miał bliżej, bo siedział tuż za nią. Ale może to wcale nie było lepsze miejsce, bo właściwie widział zawsze tylko te włosy, nieładnie spięte. Ciekawe, czy on też ją spotkał na ulicy inaczej uczesaną? Nowemu chyba nigdy nie jest łatwo zżyć się z klasą. Ale przynajmniej stara się, robi, co może. A Irka nie, jakby jej zupełnie nie zależało. Prawie z nikim nie rozmawiała. A jeśli już nawet odezwała się, to tylko: „proszę, przepraszam, co zadane, ale dziś zimno...”

Malcherczyk powiedział mi kiedyś:

- Ty, może ona chora jest, albo co?
- Może... Taka jakaś smutna!
- Raczej zamyślona...
- Dlaczego zamyślona? Smutna! - upierałem się. - Może ma zmartwienie?
- To spytaj ją, co? - zaproponował.
- A sam nie możesz? - roześmiałem się ironicznie, choć wiedziałem, że i on może, i ja mogę, ale żaden z nas nie spyta.

Kiedy indziej znów Malcherczyk podszedł do mnie i zagadnął:

- Ty, słuchaj... Gdzie ona właściwie mieszka?
- Kto?

Wzruszył ramionami, co miało pewnie znaczyć, że ja się zgrywam, a jego to wcale nie bawi. I mruknął:

- Chyba gdzieś za mostem...
- Możliwe, że za mostem... - zgodziłem się, co mi przyszło tym łatwiej, że wiele razy ją widziałem na naszym osiedlu za rzeką.
- A nie wiesz, skąd ona przyjechała? - dopytywał się Malcherczyk. - Tak w połowie roku, ni stąd, ni zowąd... Musiała mieć jakiś powód. Jak myślisz?

- Nic nie myślę! Widzę, że to ty bez przerwy o niej myślisz! - zgasilem go. -
Daj mi święty spokój, zajmij się czymś...

Obraził się na parę dni. W ogóle nie podchodził do mnie w klasie, a kiedy mijaliśmy się na korytarzu albo w drzwiach, robił miny. Jego zdaniem, powinienem pewnie wyczytać z tych min, że ma mnie w nosie, ale nie chciało mi się nic wyczytywać. Przestałem go zauważać.

Nie tylko jego gryzło, że nie wie, skąd Irka przyjechała i dlaczego właśnie w połowie roku. Taki jeden, Kawecki, wymyślił na przy-kaład, że ona na pewno w poprzedniej szkole coś poważnego zmalowała i przenieśli ją. Tak jakby szkoła mogła przenosić z miasta do miasta. Kawecki miał fantazję i następnego dnia posunął się dalej w swoich domysłach: że Irka chyba siedziała w poprawczaku albo ma jakiś wyrok sądowy w zawieszeniu i musiała zmienić szkołę.

Idiota.

- Jak dojdiesz do tego, że ona jest szpiegiem niemieckim, to mi powiedz, dobra?
- zaproponowałem mu. - I zamknij wreszcie gębę, bo jak się dziewczyna dowie, co o niej opowiadasz, to będziesz się potem długo tłumaczył!

To były zupełne bzdury, te wymysły Kaweckiego. Ale ciekawe, że jakoś zapamiętywało się je, skoro już raz zostały powiedziane. Sam się potem przyłapałem na myśli, że ta historia z poprawczakiem mogłaby właściwie być prawdziwa. Zdarzają się nie takie rzeczy... A w Irce uderzało to, że jest poważniejsza od nas, jakby bardziej dorosła.

Najprościej byłoby spytać ją zwyczajnie: „Dlaczego tu do nas przyjechałaś? Na długo? A dlaczego w połowie roku?” Może by powiedziała. A jeśli nie miałyby ochoty? No, to zawsze mogłaby odburknąć: „A co cię to obchodzi?” I byłoby przynajmniej jasne, że nie chce nic mówić o sobie. A tak to nawet tego nie wiadomo. Co prawda, zaraz pierwszego dnia Danka Kozłowska podeszła do niej i zapytała. No, tak. Ale jakim tonem!

- Skąd to się przybywa? - rzuciła pytanie gdzieś ponad jej głową i zrobiła minę, która mogła znaczyć: jeśli powiesz, że z Paryża, to i tak ci nie uwierzemy!

- Z daleka się przybywa... - odpowiedziała Irka, kładąc akcent na to „się przybywa”. I Danka od razu była uziemiona.

111

Malcherczyk roześmiał się wtedy, ale sam nie miał odwagi zagadnąć Irkę o cokolwiek. I ja też nie. Chociaż, nie wiadomo dlaczego wydawało mi się, że mnie to by odpowiedziało. Nie pytałbym przecież tak głupio jak Danka, tylko zwyczajnie.

Przyszła mi któregoś dnia do głowy dziwna myśl: a może ja jestem nieśmiały? Tak, na pewno jestem nieśmiały. Bo przecież, gdyby było inaczej, nieraz już znalazłbym okazję, żeby z Irką porozmawiać. A może nawet odprowadzić ją do domu? Albo pójść z nią do kina? Nigdy dotąd nie zauważyłem tej swojej nieśmiałości - może nagle mnie naszła? Nie było, nie było - i jest. Jak grypa. Kiedyś przez radio słyszałem w takiej pogadance, że nieśmiałość jest jak choroba, trzeba ją leczyć. Więc może ja się zaraziłem? Ale od kogo? Jeżeli już - to tylko od Malcherczyka.

Nie było się kogo spytać, jak to jest z tą nieśmiałością. Taki już los, że jak chce się z kimś poważnie porozmawiać, to okazuje się wtedy, że właściwie nia ma z kim. Wszyscy niby tacy mądrzy, a jak przyjdzie co do czego, to ich nie ma. Ludzie tylko udają mądrych, i to głupio udają. Na przykład nasz sąsiad, Gurkiewicz. Co to za pomysł, żeby się pisać przez „u”, skoro wszystkie górki pisze się przez „ó”. Taki niby mądry był ten Gurkiewicz, a pięć lat dostał i

siedzi. W toto-lotka grał co tydzień, bo chciał wygrać milion. A skończyło się tym, że ukradł sto sześćdziesiąt tysięcy z kasy w naszej fabryce ceramicznej. I mądre to?

W kajdankach go prowadzili do auta, bo uderzył milicjanta, kiedy robili rewizję w mieszkaniu. Śmiać mi się chciało, jak potem szedł z tymi kajdankami przez podwórko i płakał. Pewnie ze złości. Dostał pięć lat, ale ojciec mówił, że rok mu določyli za to uderzenie milicjanta. Siedziałyby cztery, ale zachciało mu się nie w porę ręką ruszać - posiedzi pięć. Czy to nie śmieszne? Złodziej, i do tego głupi.

Kiedy mama dowiedziała się, że Gurkiewicza zamknęli, bardzo się przejęła.

- Ręka boska chroniła, że on się z naszą Ziutą nie ożenił! O mały włos do tego nie doszło...

- Właśnie! O mały włos... - roześmiałem się. - Pewnie, że o włosy chodziło. Bo nie ręka boska Ziutkę powstrzymała, tylko to, że Gurkiewicz był gruby i łysy!

Ala mama koniecznie chciała ją za niego wydać, sam słyszałem, jak jej wmawiała, że to taki kulturalny mężczyzna...

112

- A kto może wiedzieć, co w człowieku siedzi? - broniła się mama. - Zresztą, nie wtrącaj się, nie twój interes!

Kto to może wiedzieć, co w człowieku siedzi. To prawda. I właściwie spytać się też nie można. Bo gdyby takiego Gurkiewicza ktoś spytał przed aresztowaniem: „panie Gurkiewicz, czy z pana jest złodziej, czy nie?“, to przecież nie powiedziałaby, że złodziej, owszem.

Zły byłem na siebie. Co ma Gurkiewicz do Irki? To przez tego bałwana Kaweckiego chodziły mi po głowie głupie myśli. Może nie tylko mnie?

Dziewczyny w klasie nie mogły sobie darować, że Irce jakby zupełnie nie zależało na bliższej znajomości z nimi. Kiedyś usłyszałem taką rozmowę:

- Dumna, jakby naprawdę miała z czego... Kim ona jest właściwie? - zastanawiała się Skowrońska. - Na nikogo nie raczy spojrzeć...

- Tak. Sztywna, jakby kij połknęła! Ona się chyba nigdy nie uśmiecha...

- A pamiętacie, jak wczoraj pani spytała, kto na ochotnika opowie o zabytkach Gdańska. To ona wstała i mówi: „ja mogę to zrobić“. Ja mogę! Księżniczka...

Chyba Wylczakówna to powiedziała. A Lidka Nowak próbowała jakby trochę Irki bronić:

- Słuchajcie, może ona jest po prostu nieśmiała? I dlatego woli się do nikogo nie odzywać.

Zdziwiłem się. Nieśmiała? więc ja jestem nieśmiały, Malcherczyk nieśmiały i ona też? Coś tu nie gra. Za dużo jakoś nagle tych nieśmiałych.

- Ona nieśmiała? - zachichotała Danka Kozłowska. - A widziałyście, jak kiedyś Waldka Lewandowskiego zagadywała?

Zaskoczyło mnie to. Zacząłem uważniej słuchać. Zagadywała Lewandowskiego? Nie zauważałem jakoś, żeby w ogóle z nim rozmawiała, ale skoro one tak mówią to pewnie widziały.

- Właśnie! - poparła Danke Skowrońska. - A może jej się zdaje, że ona taka piękna, co?

- No, tylko już nie mów, że ona nieładna! Widziałas, jak chłopcy się za nią oglądają? - powiedziała Lidka. I Skowrońska zdenerwowała się najwyraźniej:

8 Księżniczka i chłopcy

113

- No wiesz! Za nią? Chyba tylko jeden głupi Lewandowski koło niej się kręci...
- A ty zazdrośna jesteś, co?
- Dajcie spokój, dziewczynki, bo usłyszycie - uspokajała Milecka - i dopiero zacznie zadzierać nosa!

Zaczęły teraz szeptać, nic już nie słyszałem. Ale i tak dowiedziałem się aż za dużo. Rozzłościło mnie to, co mówiły o Irce i Lewandowskim, nawet nie wiem dlaczego.

Gdybym miał przyjaciela, takiego prawdziwego, można by mu chyba powiedzieć o tym wszystkim. Ale właściwie o czym? Że ona ma coś wspólnego z Lewandowskim? Czy też może o tym, że zupełnie nie wiadomo dlaczego mnie to wszystko złości? Ciekawe, dotychczas nigdy nie martwiłem się, że nie mam przyjaciela. A teraz czuję, jak bardzo by się przydał. Choć właściwie do czego mi potrzebny przyjaciel? Żeby sobie z nim pogadać?

Poszedłem po południu do Ziuty. Ona nie mieszkała już z nami. Nie wyszła, na szczęście, za męża za tego złodzieja Gurkiewicza, ale wyszła za kogo innego. Prawie całymi dniami siedziała teraz w domu, bo podobno lada chwila miała urodzić dziecko i mąż jej zabronił kręcić się po mieście.

Mieć siostrę trochę starszą od siebie albo młodszą to nieszczęście, ale dużo starszą, tak jak Ziuta, to ma swoje zalety. Bo nie jest taka nudna jak mama, która albo nic nie rozumie, albo udaje, że nie rozumie, i fiie jest taka głupia jak dziewczyny z klasy. Ziuta była już dość stara, miała chyba dwadzieścia pięć albo sześć lat, ale można było z nią tak zwyczajnie porozmawiać. Tylko z nią jedną w całej rodzinie.

Nawet się ucieszyła, że przyszedłem.

- Pewnie nie masz na kino, co? - spytała. - Dwudziestkę możesz dostać, ale już potem do końca miesiąca ani złotówki, bo będę w szpitalu... Zresztą, tę dwudziestkę też będziesz musiał ciężko odpracować? -
- Trzeba wrzucić węgiel do piwnicy?
- Coś ty! Wrzucanie węgla to dla prawdziwego mężczyzna przyjemność, a nie praca. Od węgla to mam męża...

Trochę się wystraszyłem:

- A jak odpracować?

114

- Będziesz woził dziecko na spacer, jak pójdę do pracy... Bo dziecko będzie cały dzień u mamy...
 - Ale chyba tak zaraz to nie pójdziesz do pracy?
 - Nie. Prawie cztery miesiące będę w domu... Odetchnąłem. Nie będę się martwił, co się zdarzy za cztery miesiące. A dwudziestka jest zawsze dwudziestką.
 - Dobra, możesz dać... Odpracuję!
- Pokręciłem się trochę po mieszkaniu, ale przecież nie po to tutaj przyszedłem, żeby pracy szukać, więc wreszcie odważyłem się spytać:
- Ziotka... Powiedz mi, jak dziewczyna się zakocha, to jest smutna czy wesoła? Nie zdziwiła się, że o coś takiego pytam. Odkąd pamiętam, nigdy nie dziwiły jej nawet najgłupsze moje pytania. Inni nie mają takiej siostry, mnie się wyraźnie trafiło.
 - A w jakim wieku jest ta dziewczyna?
 - No - mówię - czternaście... Może trochę więcej albo trochę mniej. Ale poważna. Ziotka pomyślała chwilę.
 - Trudno wiedzieć, Jacek... Raczej nie powinna być smutna, chyba że to taka postrzelona gęś, która raz chichocze, a raz płacze...
 - Nie! - zaprzeczyłem. - Nie chichocze. To nie gęś!
 - Widzisz... Z dziewczynami nigdy nic nie wiadomo, bo to dziwne stworzenia. A w

tym wieku są chyba najbiedniejsze, same siebie nie rozumieją... Jacek! Czy ty musisz się tym martwić?

- Nie! Nie muszę...
- To daj sobie spokój...
- Dlaczego?
- Bądź dla niej miły... To w końcu się wyjaśni, czy zakochana, czy nie.

Też się za wiele od Ziuty nie dowiedziałem. I dopiero na ulicy zorientowałem się, że ony mnie chyba źle zrozumiała. Dlaczego powiedziała, że bym był miły? Ona pewnie sądzi, że ja się chcę dowiedzieć, czy ta dziewczyna jest zakochana we mnie. To dopiero heca! Widocznie głupio się spytałem i dlatego tak wyszło.

Ale od tej rozmowy, na wszelki wypadek, zacząłem obserwować, czy Lewandowski jest dla Irki miły. Nic takiego nie zauważyłem. Gdzie on tam zresztą potrafi być miły? Bałwan i tyle. Coraz bardziej mnie złościł.

115

"?"-?

Taki Malcherczyk to co innego. Jak chce, to potrafi być kolegą, ??? dziewczyny nie mówiły o Irce i Malcherczyku, tylko o Irce Lewandowskim. A może to w ogóle bzdura? Może Irka wcale nie Wego jest taka, że się zakochała w Lewandowskim? I co mnie to J ogóle obchodzi? Ziuta miała rację: muszę się tym wszystkim martwić? Nie muszę.

Z Malcherczykiem teraz byłem jakoś bliżej niż dawniej. Tak się Jożyło. Więc któregoś dnia zahaczyłem go na dużej przerwie.

- Malcherczyk! Czy ty wiesz, że... - w tym momencie się rozmyśliłem. Dlaczego właśnie z nim mam na ten temat rozmawiać? Ale JI-zeba było jakoś skończyć. - Czy ty wiesz, że... jutro na gimnastyce ^amy w hokeja?
- Wszyscy o tym wiedzą...
- No, właśnie... - bąknąłem zupełnie bez sensu. Malcherczyk popatrzył na mnie i nagle spytał:
- Ty! Dziewczyny mówią na nią „Księżniczka”. Słyszałeś?
- Słyszałem...
- I co ty na to?
- A co mnie to obchodzi? Księżniczka... Wcale nie najgorsze przezwisko. Na Burackiego mówią „Burak” albo „Durak” i też Jjobrze... Malcherczyk! Grasz jutro? Wystawili cię?
- Gram. Ty chyba też, nie?
- Tak, ja też. Słuchaj, a Lewandowski będzie grał?
- Skąd mogę wiedzieć? On jest w drugiej drużynie...
- No, właśnie! - powiedziałem z takim akcentem, żeby zrozu-jjiiiał, o co mi chodzi. Ale nic nie rozumiał. Musiałem wyjaśnić: , Namów go, żeby grał... Można by gościa skosić, co?
- Co on ci zrobił? - zdziwił się Malcherczyk. - Coś taki na niego ciCty?
- Ja? Zdaje ci się... - mruknąłem.

Ale przez całą lekcję gapiłem się na Lewandowskiego. Przystojniak. Podobał się chyba wszystkim dziewczynom z klasy, wiuęc Rączego właśnie Irce nie miałyby się podobać? Ni stąd, ni zowąd ^odjąłem decyzję, że jeszcze dziś muszę z Irką pogadać. Wszystko jedno o czym, ale tak, żeby cała klasa widziała.

Minęła jednak następna pauza, potem jeszcze jedna i nie podszedłem do Irki. Zacząłem być zły na samego siebie. Na fizyce

|16

nauczyciel posłał mnie i Lidkę Nowak do gabinetu fizycznego po amperomierze.

Wyraźnie powiedział, że ja mam nieść, a ona ma mnie pilnować, żebym w gabinecie nie przesiedział pół dnia albo czegoś nie narozrabiał.

Lidka miała opinię poważnej dziewczyny i często pełniła rolę anioła stróża.

Wracamy z gabinetu, taszczyć te amperomierze, Lidka idzie przede mną i brzęczy kluczami. Przypomniało mi się, że to ona mówiła kiedyś o Irce, że może jest po prostu nieśmiała. Może więc Lidka zna się na tym?

- Nowakówna... - zagadnąłem. - Powiedz mi, czy Malcherczyk jest nieśmiały?

Zdziwiła się:

- Malcherczyk nieśmiały? Przecież to chuligan! Taki sam jak ty...

- E, tam, zaraz chuligan...

- Ja nie mówię, że on jest zły chłopak - poprawiła się Lidka. - Tylko że rozbija się wiecznie! Ciągłe się z kimś tłucze...

- To prawda... - przyznałem.

- No, widzisz? A ty pytasz, czy on jest nieśmiały! Dobry kawał!

- Lidka! A ja? Jak myślisz? - odważyłem się spytać. Popatrzyła na mnie jak na wariata.

- Oszalałeś? Nieśmiały się znalazł! Co ci w ogóle do głowy przyszło?

Pewnie miała rację, wygłupiłem się. A przecież parę dni o tym myślałem i o mały włos sam byłbym uwierzył. No, ale jeśli ani ja, ani Malcherczyk nie jesteśmy nieśmiali - a na to chyba raczej wychodziło - dlaczego nie mamy odwagi zagadnąć Irkę? I żeby to jeden, ale obydwaj? Ciekawe. A Lewandowski ma odwagę.

Po lekcjach, już przed szkołą, Malcherczyk zawołał mnie:

- Jacek! Upewniłem się, Lewandowski będzie grał. Jak powiesz, co do niego masz, o co ci chodzi, to może się przyłączę, pomogę ci. No?

- Co „no”, głupku jeden! - * rozżłościłem się. - A ty go znowu tak kochasz? Daj mi święty spokój z Lewandowskim, zostaw go dziewczynom. W ogóle nie będę grał! Nawet się nie zdziwił tym wybuchem i wiedziałem dlaczego. Irka wyszła ze szkoły z Lewandowskim, skręcili w stronę miasta. A zawsze szła od razu do domu, za rzekę.

117

Chodź, zobaczymy, co dziś grają w kinie - mruknął Malcherczyk i poszliśmy powoli za nimi, choć głodny byłem i właściwie powinienem lecieć do domu.

Okazało się, że Irka doszła z Lewandowskim tylko do rynku, a potem pożegnała się i zniknęła w jakimś sklepie. Trochę nas to jakby rozczarowało.

- Jak już tu jesteś - powiedział Malcherczyk - to chodź do mnie na chwilę...

Nigdy nie byłeś, co?

Posiedziałem u niego z godzinę, poczęstowano mnie obiadem. A potem poszliśmy obaj do kina i kupiliśmy bilety na osiemnastą. Zupełnie zapomniałem o Lewandowskim. Dopiero następnego dnia tuż przed meczem przypomniałem sobie, że on mnie denerwuje.

Rozejrzałem się po lodowisku, Lewandowski ćwiczył strzały na bramkę. Podjechałem do Malcherczyka.

- No i co? Kosimy?

- Coś ty? Po co? Jakby przypadkowo wjechał pod kij, to ostatecznie... Ale tak, specjalnie, to nie warto.

Irka nie oglądała, jak inne dziewczyny, tego meczu. Widocznie ją to nie obchodziło, została w klasie. Mecz był zresztą słaby, graliśmy niemrawo i zupełnie bez tempa, nic się nie kleiło. Może więc dobrze, że tego nie widziała.

Lewandowski miał szczęście. Nie wjechał mi pod kij. Za to ja w pewnym momencie wyciągnąłem się jak długi. Szorowałem z dziesięć metrów na brzuchu, wywaliłem się z pełnego rozpędu. Musiałem mocno wyrznąć ręką o lód, bo kij pękł. Ręka była jakby zdrętwiała, nawet początkowo nie bolała. Ale kiedy ściągnąłem rękawiczkę,

zobaczyłem, że dłoń robi się sina i puchnie. Zjechałem z lodowiska.

Malcherczyk zażądał, żeby przerwać mecz, bo nie mieliśmy rezerwy, ale przeciwnicy się nie zgodzili. Po długich targach zdjęli od siebie najsłabszego i obie drużyny grały czwórkami. Wlepili naszym sporo, ale ja już tego nie widziałem, poszedłem do domu.

Dwa dni nie byłem w szkole, bo lekarz kazał mi chodzić przed południem na lampy. Nic to nie pomagało i wreszcie zawinęli mi rękę aż do łokcia elastycznym bandażem, musiałem ją nosić na temblaku, wyglądałem jak inwalida albo ofiara losu.

Trochę mi głupio było, kiedy wszedłem z taką ręką do klasy. Myślałem, że będą się ze mnie śmiać. Ale nie. Koło Malcherczyka,

118

tuż za Irką, było wolne miejsce. Malcherczyk napychał się czymś. Zawsze zresztą coś jadł, ledwie przyszedł do szkoły wyciągał żarcie i potem już tak przez wszystkie pauzy. Ale to był kawał chłopa, może musiał tyle jeść?

- Cześć, hokeista! - powiedział. - Żyjesz? To siadaj tu... Wolne jest, bo dałem wymówienie Borowikowi. Złościł mnie. Powiedziałem mu wczoraj: „ty, albo przestań te paznokcie obgryzać, albo płyn w inną ławkę!” Aż mnie brzuch bolał od patrzenia na niego...

- I co? Nie przestał? - spytałem.

- Brzuch? Przestał! A Borowik popłynął do Orłowskiego. Będzie komplet, bo tamten w nosie dłubie. Artyści, co?

Położyłem torbę i usiadłem w ławce, tuż za Irką. Odwróciła się, popatrzyła na nas i nagle odezwała się do mnie:

- Boli cię jeszcze ta ręka?

- Pod gipsem nie boli! - odpowiedział za mnie Malcherczyk.

- Wiem, bo miałem kiedyś nogę...

- A teraz nie masz? - i uśmiechnęła się.

- W gipsie miałem, rzecz jasna... - tłumaczył się Malcherczyk.

- Chyba rok temu albo dwa...

Ja nie mam gipsu! - przerwałem mu. - To tylko bandaż, ale mocno ściągnięte... A ona:

- No to chyba musi boleć!

- Jak to się właściwie stało? - zaczął się zastanawiać Malcherczyk. - Ciągnąłeś z krążkiem na bramkę, tak? I nagle krążek poszedł bokiem, a ty zaczęłaś szorować twarzą po lodzie... Podciął cię ktoś?

- Bo ja wiem? Może i podciął...

- Jak to „podciął”? Specjalnie? - spytała Irka. - Kto?

- Nigdy się nie podcina specjalnie, tylko naumyślnie... Czy to takie ważne, kto?

Wiecie, ja to się na przykład nie nadaję na sędziego - mówił Malcherczyk - bo za nerwowy jestem. Jakbym takiego wziął w łapy...

Przestałem słuchać, co by zrobił, gdyby takiego wziął w łapy. Patrzyłem na Irkę i myślałem, jaki to człowiek jednak jest głupi. Tak długo zastanawiałem się, jak tu do niej zagadać, a dzisiaj - proszę, rozmawiamy zwyczajnie, jakby nigdy nic. I nawet się martwi, że mnie ręka boli...

119

- ...Właśnie tak bym zrobił, taki już jestem! - zakończył Malcherczyk.

Właściwie nie usłyszałem, jaki on jest. Nie wiadomo zresztą, do kogo to wszystko mówił, bo Irka też już nie słuchała.

Tym pytaniem, czy ktoś mnie podciął, podsunął mi myśl, że mogło tak być. Nie miało to, co prawda, większego znaczenia, ale zaczęło mnie drażnić. Bo jeśli podciął, to kto? Przypominałem sobie, jak wyglądała sytuacja na lodowisku, tuż

przed moim upadkiem...

Malcherczyk jakby wyczuł, o czym myślę. Powiedział cicho:

- Nie... To nie Lewandowski. Był wtedy pod naszą bramką. Pamiętam dobrze, bo cały czas go pilnowałem. Mieliliśmy przecież gościa skosić. Ale potem, jak zszedłeś z lodowiska, to już dałem spokój...

Koło okna stanęła Walczakówna, przyjrzała mi się jakoś dziwnie i mówi:

- O, ranny przyszedł... Będziesz tu siedział?

- Gdzie?

- No, tutaj, w tej ławce...

- Bo co?

- Nic! Mnie nie przeszkadza. Możesz siedzieć nawet na szafie!

- i roześmiała się, jakby rzeczywiście było z czego. - Siedź, proszę bardzo...

Ale Waldek Lewandowski mówił wczoraj, że on tu chce usiąść. Bliżej Księżniczki...

Irka znów odwróciła głowę.

Bliżej kogo? - spytała. Zerknąłem na Malcherczyka, a on na mnie. Więc ona nie wie, że tak ją w klasie nazywają?

- Siadaj... - Mruknął do mnie Malcherczyk. - Moja ławka, ja tu rządę!

Zupełnie nieproszona przyłączyła się do rozmowy Skowrońska. Zawsze swoje głupie trzy grosze musi wtrącić.

- Nie udawaj, Irka, że nie wiesz, koło kogo Waldek chce siedzieć! Przecież wczoraj byliście razem w teatrze...

- W jakim znowu teatrze? - zdziwiłem się. W naszym mieście nie było teatru.

- Cała klasa była wczoraj w teatrze - wyjaśnił mi Malcherczyk.

- Pojechaliśmy autokarem. Żałuj, żeś nie był!

- Cała klasa, cała klasa! - przedrzeźniała Skowrońska. - Ale Irka siedziała koło Lewandowskiego, nie?

120

- A ja siedziałem koło filara! Zawsze trzeba koło czegoś siedzieć... - wysilił się na dowcip Malcherczyk.

Irka słuchała tego wszystkiego jakby wystraszona. Spoglądała raz na Skowrońską, raz na Malcherczyka, to znów na Walczakównę która siedziała teraz na oknie i machając nogami prawie przed naszymi nosami powiedziała:

- Widzicie? Księżniczka udaje, że nic nie rozumie...

- Nie kop ściany, Bardotko zakichana! - warknął Malcherczyk - Do kogo mówię, co?

- i Walczakówna przestała machać nogami ale i tak ją ściągnął z parapetu.

- Cham... - mruknęła i pokazała język.

Myślałem, że na tym się skończy i dadzą Irce spokój. Ale ?? Skowrońska, ze słodkim uśmiechem, zwróciła się teraz właśnie do niej:

- Szkoda, że nie słyszałaś, co Waldek wczoraj po teatrze powiedział: „ona niby taka tajemnicza, ale ja ją rozgryzę...”

- Dziewczynki, czego wy ode mnie chcecie... - zaczęła Irka i urwała, bezradnie patrząc na nas dwóch, jakbyśmy mogli jej w czymś pomóc.

Wściekły byłem.

- Kogo on rozgryzie? Pytam, kogo on ma niby rozgryźć, bo nie rozumiem was. Bełkoczesz coś, Skowrońska, jak w gorączce...

- Co ty ich słuchasz... - machnął ręką Malcherczyk. - Przecież toto głupie aż strach!

Skowrońska obraziła się, ale Walczakówna nie. Jej nie można było tak łatwo obrazić. Odpowiedziała spokojnie:

- Jak to kogo? Niby nie wiesz, kogo on koniecznie chce rozgryźć? Księżniczkę!

- Nie wtrącaj się do bab! Dobrze radzę... - mruknął Malcherczyk i nagle przypomniał sobie o jedzeniu. Ugryzł potężny kęs chleba i z pełnymi ustami

wymamrotał do Walczakówny:

- A ty to już zupełnie pomyłona jesteś! Ciągle tylko Lewandowski i Lewandowski...

Jak pies je, to nie szczeka! - odcięła się momentalnie. - żebyś się wreszcie udławił!

Nie udławił się jednak. Rozpoczęła się lekcja, potem przeleciała druga, trzecia... Dziwnie mi się jakoś siedziało w tej ławce. Kiedy

121

Irka odchylała głowę do tyłu, żeby spojrzeć na tablicę, jej włosy prawie dotykały mojego zeszytu. Raz nawet odwróciła się do nas i pożyczyła od Malcherczyka ekierkę. To było jednak lepsze miejsce niż moje dawne.

Malcherczyk też był chyba zadowolony, że tutaj usiadłem. Uśmiechnął się do mnie parę razy, usiłował mi wmówić jedną kromkę ze swoich zapasów, a wreszcie, na klasówce z polskiego, napisał na bibule: Możeż tu siedzieć na stale, przekonasz się, że tu nieźle.

Polonistka zauważyła manipulację z bibułą i sądząc, że to jakaś ściągą kazała ją sobie podać.

- Malcherczyk! Jak się pisze „możesz”? Chodź i napisz na tablicy!

Napisał dobrze, przez „sz”, i zdziwiony czekał, co dalej.

- A dlaczego na bibule zrobiłeś błąd?

- Błąd? Bo ja wiem? Ale przecież na bibule to nie jest ważne...

To nieoficjalny tekst!

„”,-

./' , , ,

- prywatnie też nie wolno robić błędów. Siadaj! A ten z bibuły zaliczę ci do klasówki...

Wszystkich to rozbawiło, nawet jego. Wrócił do ławki i mruknął do

mnie:

- Coś mnie zaczynasz drogo kosztować... Będę musiał jeszcze dopisać do tego wypracowania z pół strony, żeby nadrobić stratę!

Wyszliśmy tego dnia dopiero po siedmiu lekcjach, bo jeszcze nam chór dołożyli za karę, że z poprzedniego połowa się ulotniła. Wyjątkowo nikt nie biegł na łeb na szyję do szatni, wszyscy byli zmęczeni, nawet dziewczynom nie chciało się rozmawiać. Mijaliśmy po drodze maluchy, które schodziły się na zbiórkę zuchową. „Im to dobrze są już po obiedzie!” - myślałem z zazdrością.

Malcherczyk zatrzymał się na chwilę, bo spotkał swojego młodszego brata, który mu przekazywał klucz od mieszkania. Zawsze uprawiali taką sztafetę z tym kluczem, jak nie w szkole, to na ulicy, albo szukali się obydwoj po całym mieście.

Szedłem za Irką, ale w szatni straciłem ją z oczu. Usiadłem więc na ławce, sięgnąłem po buty i dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, w jakiej jestem sytuacji! Dlaczego nie założyłem innych butów? Nie pomyślałem o tym. W domu mama pomogła mi się ubrać. A co teraz? Jak ja sobie zawiążę narciarzy jedną ręką, i to

122

lewą? A przedtem trzeba je zasznurować... Gdyby to chociaż były buty z metalowymi haczykami, a nie zwykłe, z dziurkami, przez które trzeba przeciągnąć postrzępione na końcach sznurówki.

Ze złością spojrzałem na swoją prawą rękę - nie było mowy o odwinięciu bandaża chociaż z palców, posklejany był z zewnątrz plastrem. A zresztą, kto by mi to potem zawinął? Przez wszystkie lekcje ułatwiała mi ta zabandażowana ręka życie, nic nie musiałem pisać, klasówki też. Ale teraz byłem wściekły na wszystkich: na

tego, kto mnie podciął na lodzie, na lekarza, który mnie tak opakował, na Malcherczyka, że gada tam na schodach z bratem, jakby się miesiąc nie widzieli... W szatni zaczynało się już przeredzać... Zostało tylko parę dziewcząt, Kawecki, Fronczak i Lewandowski, który miotał się po szatni, szukając swojej czapki. Nie mogłem dłużej siedzieć beczynn timer i patrzeć na własne buty. Zacząłem się z nimi męczyć...

W żaden sposób mi nie szło, to była robota na miesiąc! Spociłem się cały. W szatni nie było wcale tak widno. Raz dźgałem sznurówką, raz ją próbowałem wyciągnąć, wyskubywać z drugiej strony dziurki, to znów poprawiałem włosy... A wszystko tą jedną lewą ręką! Męczarnia...

Nagle ktoś stanął pomiędzy mną a oknem, zasłaniając resztę światła.

- Odsuń się, do cholery! - krzyknąłem i podniosłem głowę, żeby zobaczyć, kto taki mądry.

Przedemną stała Irka, ubrana już. Cofnęła się o pół kroku.

- Przepraszam... - mruknąłem. - Myślałem, że to Fronczak robi kawały... A tu ciemno!

- Poczekaj, pomogę ci! - powiedziała.

I zanim zdążyłem się zorientować, co ona chce zrobić, przykucnęła i zabrała się do sznurowania moich butów.

W jednej sekundzie zrobiło mi się zimno, nie wiem czemu, ale właśnie zimno. A potem bardzo gorąco. Czuję, że robię się czerwony, jakbym wyskoczył z ukropu...

- Daj spokój... Irka! Co ty?

Zasznurowała mi jeden but, podniosła głowę i uśmiechnęła się:

- Przecież sam nie dasz rady... Widziałam, że ci nie idzie... Żadne rozsądne słowo nie przychodziło mi do głowy. Jak jej

123

powiedzieć, że nie powinna tego robić? Że zaraz przyjdzie Malcher-czyk... No, że to wstyd tak na oczach wszystkich. Dziewczyna chłopcu? I to właśnie ona... Jak jej przeszkodzić? Przecież nie mogę krzyknąć: „odczep się, daj mi spokój!”

A może tego nikt nie zauważy? Nie, wiedziałem, że to niemożliwe. W szatni ucichł gwar, pewnie wszyscy teraz patrzą na nas... Bałem się podnieść głowę..-

Z przedSIONKA dobiegł gbs Lewandowskiego:

- No, jest nareszcie ta czapka! Irka, chodź, bo nie dostaniemy biletów... Irka!

Gdzie ty jesteś?

Teraz podniosłem głowę- Widziałem wytrzeszczone ze zdumienia oczy Kaweckiego, głupią minę Fronczaka... Skowrońska uśmiechała się, Milecka patrzyła na mnie tak, jakby diabła nagle zobaczyła, Danka bawiła się swoim warkoczem, nie spuszczać oka z Irki...

To właśnie Danka pierwsza się odezwała:

- Ho, ho... Jaka miłość! Piękny widok, co?

- Waldek! Chodź szybko i popatrz! - zawołała Skowrońska.

- Ucieszysz się...

- Ale heca... bąknął Fronczak.

Jak na złość, przy drugiTM bucie zerwała się sznurówka i wszystko trwało dłużej.

Irka musiała ją wiązać. „Co ona teraz myśli?”

- przebiegło mi przez głowę. - Taki wstyd!”

Milecka zaczęła chichotać:

- Dziewczynki! Mamy kino, co?

A na to Irka, dość głośno, tak żeby wszyscy słyszeli:

- Nie zwracaj na nich uwagi... Co cię obchodzi? Kupa smarkaczy!

- Irka! - wrzasnął Lewandowski. Odsunął dziewczyny i szarpnął ją za ramię tak silnie, aż beret jej się zsunął i spadł na podłogę. - Co ty wyprawiasz? Zostaw

to! Wynajęłaś się jako służąca, czy jak? Nie wstyd ci? Księżniczka od wiązania butów!

Wstałem. Irka też. Wydało mi się, że zbladła nagle. Powiniennem teraz trzasnąć go w gębę, ale tak, żeby wylądował na tamtych wieszakach, pod ścianą. Powiniennem rozpedzić tę uśmiechniętą bandę, podnieść jej beret i jeśli ktoś powie jedno słowo, wcisnąć mu je pięścią z powrotem...

Tak, Powiniennem. Pięścią- Co ja mogę zrobić z tą zawiniętą

124

łapą. Co ja wytłumaczę Lewandowskiemu jedną ręką, lewą... Zanim go popchnę, już będę leżał. I on wie o tym dobrze. Jest zielony ze złości.

- Służąca! Ale wyszło na wierzch, co w tej tajemniczej Księżniczce siedzi!

Wtórują mu wszyscy. A my obydwójce stoimy bez ruchu. Kawecki zatacza się ze śmiechu. Nie widzę już twarzy, widzę szare plamy... przymykam oczy, żeby jakoś się opanować. I wtedy słyszę koło siebie:

- Artysta! Coś mówiłeś, zdaje się... Nie dosłyszałem!

To Malcherczyk. Nareszcie jest... Teraz! Pięć minut temu powinien przyjść, a nie doszłoby do tego wszystkiego. Znowu coś je... mówi do Lewandowskiego z pełnymi ustami. A tamten pogardliwie:

- Powiedziałem: „głupia służąca!” A ty, czego? Malcherczyk odepchnął mnie, stałem mu na drodze. Przełknął to,

co jadł, i podszedł do Lewandowskiego bardzo blisko.

- Ja? Nic. Przeprós ją...

Śmiech Kaweckiego ucichł raptownie. Fronczak wycofał się pod okno, dziewczyny patrzyły na Malcherczyka ze zdumieniem. Tylko Milecka wciąż chichotała.

- Daj mu spokój... - powiedziała Irka. - Nie warto... Malcherczyk nie zwracał na nią uwagi.

- Przeprosisz? - spytał.

- Nie!

- Nie? - w głosie Malcherczyka nie ma teraz na pozór ani cienia złości, tylko jakby wielkie zdziwienie. - Nie przeprosisz jej?

Błyskawiczny ruch ręki. Lewandowski leci metr, dwa... Odbija się od Fronczaka. Malcherczyk znowu jest koło niego...

- Co tu się dzieje? - słyszymy od drzwi.

To nasz stary woźny, Krukiewicz, znamy go od lat i on nas zna. Wie, o co poszło, czy dopiero teraz wszedł?

- Nic specjalnego się nie dzieje, panie Krukiewicz! - odpowiada Malcherczyk. - Artysta dostał po gębie...

Malcherczyk! Znowu się rozbijasz? Do pana kierownika! Ale już!

- Zaraz idę... - mówi Malcherczyk, odwraca się do Krukiewicza... i nagle z powrotem szybki półobrót. Słysząc suchy trzask.

125

Lewandowski dostał w twarz z drugiej strony. Nie spodziewał się tego, nie zdążył się zasłonić. Stoi teraz z głupią miną, jakby nie wiedział, co się właściwie wydarzyło.

- Widzisz, dobrze, że sobie przypomniałem! - mówi Malcherczyk do mnie. - Ten drugi raz to od ciebie. Jak ci zdejmą bandażę, to mu dołożysz!

- No, już! Idziemy do kierownika - woźny kładzie mu rękę na ramię i popycha przed sobą.

Podniosłem z podłogi beret i podałem Irce. Wyszła bez słowa. Schyliłem się po swoją torbę i nagle widzę, że woźny zawraca po kilku krokach, podchodzi do Lewandowskiego i mówi cicho:

- Słuchaj, ty paniczku, gówniarzu jeden. Od dziś nie musisz mi się kłaniać!

Choćby obok stał kierownik... Powiesz, że cię zwolniłem z tego... obowiązku. Bo czym ja tu jestem? Woźnym, służącym...

Staremu trzęsą się ręce, jest blady... To kawał chłopca, bardzo wysoki, kościsty. Musiał być kiedyś silny. Lewandowski cofa się, może bezwiednie.

- Panie Krukiewicz, po co się tak denerwować... - mówi nieśmiało Danka Kozłowska i chwyta starego za rękaw.

Zawsze ją bardzo lubił, ale teraz nie zwraca na Dankę uwagi. Patrzy tylko na Lewandowskiego i powtarza z uporem:

- Woźnym jestem, słyszysz? Woźnym! I ja sobie nie życzę, żeby taki jak ty mówił mi dzień dobry...

Wychodzą obaj z Malcherczykiem, odprowadza ich napięta cisza. Rozglądam się przez moment po szatni. Gdyby był na to czas, Pewnie sporo można by z tych twarzy wyczytać. Ale nie zastanawiam się nad tym. Przychodzi mi do głowy... nie, wiem na pewno, że coś tu jest jeszcze do zrobienia. Wybiegam za tamtymi.

Może należało iść z Irką? Dopędzić ją przed szkołą i powiedzieć... Co powiedzieć? Że to ja jestem winien, że wszystko przez tę PRyklętą rękę. O mnie poszło, a ją obrażono... Może należało przeprosić Irkę? Albo podziękować jej? Niechby nie szła do domu sama P° tym wszystkim...

A jednak poszła sama, nie pobiegłem za nią. Woźnego i Malejczyka dogoniłem tuż przed kancelarią. Na szczęście zdążyłem...

- Poczekajcie! - zawołałem. - Panie Krukiewicz! Idę z wami... Stanęli. I woźny spytał:

12c

- A ty niby czego? Przecież ty się nie rozbijałeś. Nie uderzyłeś go... więc czego chcesz?

Malcherczyk wiedział, o co mi chodzi. Odpowiedział za mnie.

- Panie Krukiewicz... Niech pan zrozumie, on nie mógł go uderzyć. No, bo jak? Tą obandażowaną ręką? Ale on chciał, ja go znam... On by go nawet pierwszy nalał!

- Panie Krukiewicz... niech pan jakoś tak wytłumaczy kierownikowi, że to my obydwaj, Malcherczyk i ja. Co? Panie Krukiewicz... - prosiłem. - Kierownik panu uwierzy...

- Nie zwracajcie mi głowy! Więc w końcu, kto kogo pobił?

- Obydwaj! - powiedziałem. - Malcherczyk i ja...

- No, tak... - Przyznał Malcherczyk. - Liczy się, że obydwaj. Bo raz mu dałem w gębę od siebie, a drugi raz od Jacka!

Woźny milczał przez chwilę.

- Niech mu pan tego nie robi... - wstawiał się za mną Malcherczyk. - Niech pan zrozumie, on ma prawo, żeby się liczyło, że to my obydwaj pobiliśmy Lewandowskiego!

- Ma prawo, powiadasz... Rozumiem! - mruknął woźny. - Ma prawo bronić tej dziewczyny, tak? Dobrze, niech będzie. Powiem, że to wy obydwaj... Gdzie się pchasz? - krzyknął nagle na Malcher-czyka, który już naciskał klamkę w drzwiach do kancelarii. - Sam pójdę do kierownika! A wy do domu. Ale już!

W pierwszej chwili nie zrozumieliśmy, co to ma znaczyć. Malcherczyk spojrzał na mnie, ja na niego.

- Więc co będzie, panie Krukiewicz? - spytałem.

- Będzie to, co ma być! Poproszę kierownika, żeby nie kazał wam przepraszać tego tam... no, tego z szatni...

Malcherczyk popatrzył na starego z podziwem. Aż otworzył usta. Wreszcie powiedział:

Panie Krukiewicz, pan to jest w dechę chłop!

- Ty! Nie wyrażaj się! Ja wam pokażę! Chuligan jeden z drugim! - krzyknął

groźnie Krukiewicz.

Aż cofnęliśmy się zaskoczeni. A wtedy woźny zupełnie nieoczekiwanie uśmiechnął się do nas. Lekko, prawie niedostrzegalnie, jakoś bardzo smutno. Odwrócił się i wszedł do kancelarii.

Postaliśmy jeszcze chwilę. Może nas zawołają? To miejsce było nam dobrze znane, nie pierwszy raz czekaliśmy tu przed wejściem do

127

„pralni”. Tak się u nas w szkole nazywało rozmowy z kierownikiem. Tylko że dotychczas każdy z nas wystawał tu w pojedynkę, a teraz, po raz pierwszy, sterczeliśmy razem. Nikt nas jednak nie wołał.

- Chodź! - powiedział wreszcie Malcherczyk. - „Pranie” odwołane. Gdybym wcześniej wiedział! Można było Lewandowskiego mocniej nalać, co? Człowiek to ma jednak zawsze pecha...

Przez całe popołudnie tego dnia nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Kilka razy wychodziłem z domu i snułem się po osiedlu. Koniecznie chciałem spotkać Księżniczkę, ale nie wiedziałem, gdzie ona mieszka. Wreszcie te moje spacerunki zaczęły budzić podejrzenia w domu. Mama powiedziała do szwagra, który teraz u nas przesiadywał, bo Ziuta już urodziła córkę i leżała w szpitalu:

- Pewnie Jacek znowu coś zmalował, bo go nosi po świecie! Może zakochany? Albo szuka guza? - roześmiał się szwagier.

- A może i jedno i drugie?

„Żebyś taki zdrow był, jak ja ci będę dziecko na spacer wozil!” pomyślałem ze złością. Ale przypomniałem sobie, że to przecież Ziotki dziecko... Machnąłem na niego ręką. Niech gada głupstwa. Nawet się nie zdziwiłem, że wieczorem przyszedł do mnie Malcherczyk. Pokręcił się, wyczekał, kiedy zostaliśmy w kuchni sami, i pyta:

- Widziałeś może Irkę?

- Nie. A ty?

- Też nie... Szkoda.

Rozmowa się nie kleiła.. Zrobiliśmy matkę, przelecieliśmy przez geografę, utknęliśmy na historii... Wreszcie mówię:

- A widziałeś Księżniczkę z rozpuszczonymi włosami?

- Księżniczkę? Naszą?

- Przecież nie Annę Jagiellonkę! No więc, widziałeś?

- Nie... A ty? - ożywił się Malcherczyk. - No i jak? Wzruszyłem ramionami.

- To co ty o niej wiesz, jeśli ją widziałeś zawsze tylko w szkolnym uczesaniu?

- A ty znowu wiesz o niej tak bardzo dużo! - zgasił mnie. I miał właściwie rację.

Co my o niej w ogóle wiedzieliśmy? Zupełnie nic. Dopiero teraz w pełni zdałem sobie z tego sprawę. Malcherczyk chyba też. Do tej

128

pory Irka nas intrygowała: skąd się tu wzięła, dlaczego przyjechała w połowie roku? Ale teraz nie było to dla mnie ważne. Męczyło mnie, że nie wiem, jaka ona jest, co robi, o czym myśli... Dziwiło mnie, że nagle, po raz pierwszy, zastanawiam się, o czym ktoś tam może sobie myśleć. No, nie ktoś tam, tylko ona, Księżniczka. Malcherczyk powiedział: nasza Księżniczka.

Szwagier odebrał od mamy dokładne instrukcje, ile pieluszek ma kupić, przyszedł do kuchni i wdał się z nami w rozmowę o szkole. Może mama mu kazała? Mrugnąłem więc do Malcherczyka, żeby wiedział, że nie o wszystkim można mówić. Facet był nowy w rodzinie, „zielony”, jeszcze nie miałem gwarancji, czy Ziutka go zdążyła choć trochę wychować. Ale kiedy tak słuchałem, jak sobie z Malcherczykiem pięknie rozmawiają, przyszło mi do głowy, że można by tego szwagra wreszcie

wypróbować. Niochby się do czegoś przydał.

- Słuchaj - mówię ni w pięć, ni w dziewic - mamy taką trudną sprawę...

Wychowawczynie nam ją zleciła. Może byś pomógł? Trzeba znaleźć adres pewnej osoby, ale znamy tylko jej imię i nazwisko. Więc jak to zrobić?

Malcherczyk spojrział na mnie z uznaniem, w lot chwycił, o co chodzi.

- Biedna ta nasza wychowawczynie - powiedział. - Chyba już nigdy nie znajdzie swojej kuzynki...

„Przeholował bałwan!” - pomyślałem. - Niepotrzebnie uderzył w taki żalony ton...” Ale szwagier niczego podejrzanego nie zauważył, przejął się sprawą.

- W dużym mieście, na przykład w Warszawie, to jest takie specjalne biuro adresowe... - zaczął robić wykład, ale mu przerwałem.

- Wiesz, nas tak znowu bardzo nie interesuje, jak jest w Warszawie. Chodzi o nasze miasto...

- Przecież tu się prawie wszyscy znają?

Ma pan rację. Prawie, ale nie wszyscy... - powiedział uprzejmie Malcherczyk. -

Chodzi o kogoś, kto tu przyjechał mniej więcej miesiąc temu.

- Jeśli ten ktoś jest zameldowany, to nic trudnego. Ju^o wam powiem... - zaofiarował się ochoczo szwagier.

- A dzisiaj nie można? - spytał Malcherczyk, trochę r0zC/^arowa-

9 - Księżniczka i chłopcy

129

ny, ale kopnąłem go pod stołem i uspokoił się. - No, słusznie, już jest wieczór, za późno!

Podaliśmy szwagrowi nazwisko Irki, zapisał na kartce i poszedł do pokoju.

Usłyszałem, jak tłumaczy mamie:

- Już wiem dlaczego on się całe popołudnie włóczył po osiedlu... Niech się mama nie martwi, to wychowawczynie im kazała...

- Bystry szwagier to skarb! - powiedział Malcherczyk, kiedy odprowadzałem go do domu. Roześmieliśmy się na głos. Rzeczywiście, Ziućka będzie się musiała nad tym swoim mężem napracować. Ale lepszy taki niż ten złodziej Gurkiewicz.

Nie mogłem doczekać się, kiedy minie wieczór, noc i człowiek znajdzie się w szkole. Pierwszy raz w życiu tęskniłem za szkołą. Śmieszne... Oczywiście, że nie za szkołą. Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę Irkę.

Będziemy rozmawiali na wszystkich pauzach. Tylko we troje: ona, Malcherczyk i ja.

A po lekcjach odprowadzimy ją pod dom... Nie! Odprowadzimy ją tylko do mostu.

Powiemy, że nam się śpieszy. I nie spytamy wcale, gdzie mieszka. A po obiedzie,

kiedy szwagier da mi jej adres, polecę po Malcherczyka i zrobimy Irce

niespodziankę. Pójdziemy do niej wieczorem, niby zapytać, co zadane. To był dobry pomysł z tym szwagrem... Dałbym głowę, że Malcherczyk też podobnie myślał. I wcale mnie to nie gryzło, nawet byłem zadowolony.

Następnego dnia już za kwadrans ósma wpadłem do klasy. Malcherczyk przyszedł tuż po mnie. Irki nie było.

„Pewnie się spóźni - myślałem albo przyjdzie po pierwszej lekcji!” Ale minęła pierwsza lekcja, druga. Irka w ogóle nie przyszła do szkoły.

- Może chora? - powiedział Malcherczyk. - Moglibyśmy ją odwiedzić... Powiemy, że nas nauczycielka przysłała. Dobrze?

Z automatu na poczcie zadzwoniłem do szwagra do pracy.

- Przepraszam was bardzo - tłumaczył się - ale dzisiaj mam masę roboty. Jutro znajdę ten adres... albo pojutrze, dobrze?

Minęły trzy dni. Irka nie przychodziła do szkoły. Już nie tylko ja i Malcherczyk odczuwaliśmy brak Księżniczki. Dziewczęta rozmawiały ze sobą o niej, Fronczak się dopytywał. W klasie nie było teraz tak, jak miesiąc temu, kiedy Irka jeszcze

nie chodziła do nas. W klasie było bez niej pusto.

130

Trzadzieści osiem osób przelewało się między ławkami na każdej przerwie, panował zwykły gwar i rozgardiasz, a jednak było pusto. Kiedy Irka chodziła z nami, nie rozmawiała przecież prawie z nikim. Mówiła niewiele: „proszę, przepraszam, co zadane, alkę dziś zimno...” Dlaczego więc teraz wszyscy odczuwali jej brak?

Nasze dziewczyny nie lubiły Irki. Więc dlaczego teraz zastanawiały się, co też mogło się jej wydarzyć, czemu nie przychodzi?

Lewandowski starał się schodzić nam z drogi, unikał zresztą nie tylko nas dwóch.

Może on też czuł, że coś się w klasie zmieniło. Na gorsze.

Na najbliższej lekcji z wychowawczynią wstała Danka Kozłowska i zapytała:

- Czy nie trzeba posłać kogoś do Irki? Co się z nią dzieje?

- Ja bym mógł pójść... to znaczy my z Jackiem! - zaproponował Malcherczyk i nawet nikt nie robił z tego żadnych żartów. Klasa przyjęła tę propozycję zwyczajnie, niektórzy kiwnęli głowami, że owszem, moglibyśmy pójść.

- Nie, nie trzeba... - odpowiedziała wychowawczyni. - Zapomniałam wam powiedzieć, Irka nie będzie już chodziła do naszej klasy. Wczoraj wyjechała.

Nagle postanowiła, uparła się, nie można jej było powstrzymać... Tak

przynajmniej powiedział mi dziadek Irki. Wróciła do swojej starej szkoły...

- A skąd ona była? - spytał Kawecki.

- Nie wiecie? Nie pytaliście jej? - zdziwiła się wychowawczyni. - Z daleka, z Gdyni! To biedna dziewczyna... Nawet dziwię się, że wróciła tam, bo przecież ona właściwie nie ma domu. Matka nie żyje, ojciec... ech, lepiej nie mówić. Tutaj mieszkała u dziadków. To wnuczka naszego pana Krukiewicza, nie wiedzieliście? Dlaczego zdecydowała się tam wrócić? Pojęcia nie mam. Może tu, z nami, było jej jeszcze gorzej?

W klasie panowała zupełna cisza. Różne myśli tłukły mi się P° głowie, jedna gorsza od drugiej. Nie mogłem sobie z nimi poradzić, nie umiałem, nie chciałem się z tym wszystkim pogodzić. Więc I to? Była tu, koło nas. Zjawiała się nagle. I tak samo nagle znikn? Nikt nie potrafił podać jej ręki, zatrzymać.

Znajdę ją. Co jest wart człowiek, który nie potrafi znaleźć Księżniczki?

131